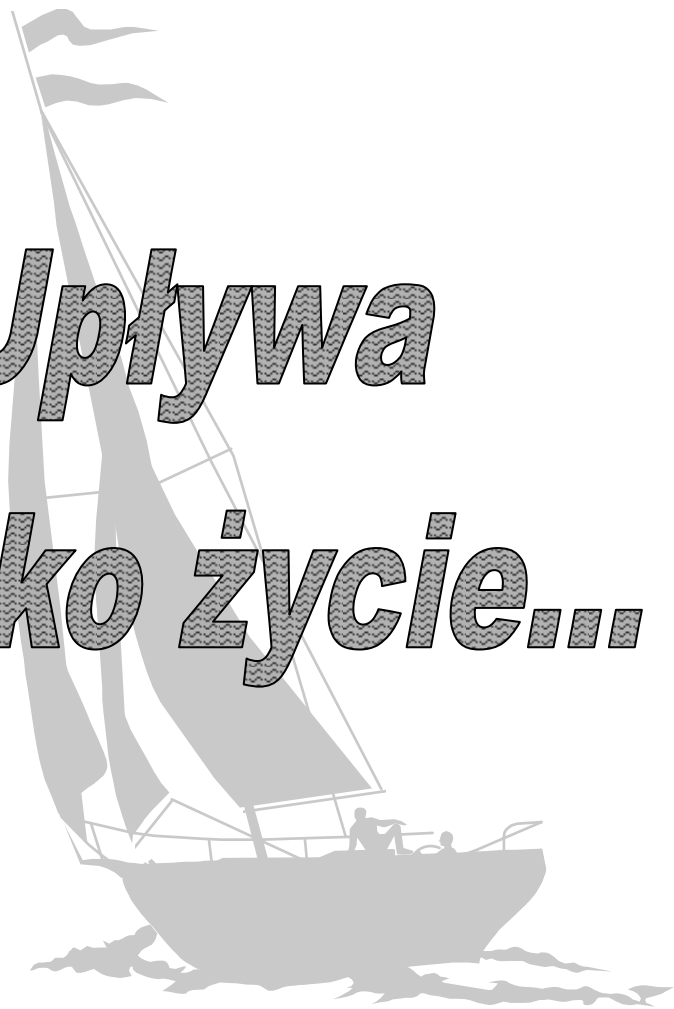


Hanna Rudawcowa

*Upływa
szybko życie...*



Pamięci Rodziców poświęcam

*Mojej Kochanej córce
Halce i drogim jej
Kariem i pamiętam*

*Janusz - Mistrz
6.7.62 r.*

Rozdział I.

Ja i moja klasa

Pani Zofia utkwiała we mnie zrozpaczone spojrzenie: – na miłość boską, dziewczyno! Czy ty pięciu minut nie potrafisz usiedzieć spokojnie? Co to za nowa mania robienia podczas lekcji generalnych porządków w szufladzie i na ławce? Zrobiłam minę na temat: – ależ oczywiście potrafię – nawet godzinę – proszę bardzo! Wyprostowałam się i zamarłam bez ruchu, ale w tej chwili siedzący za mną Witek Markowski zaszeptał ironicznie: – Boska! Na miłość boską siedź spokojnie, nieboskie stworzenie! – i pociągnął mnie za warkocz. Spróbowałam więc kopnąć go pod ławką „do tyłu”, co wymagało pewnej zręczności, gdyż przezornie usunął swoje długie nożyśka. W trakcie tych wysiłków źle ułożone książki, porządkowanie których przerwała mi pani Zosia swoją uwagą, wysunęły się z szuflady i z hukiem trzasnęły o podłogę. Dałam nura pod ławkę i zbierając próbowałam jednocześnie dosięgnąć Witka, żeby wyrzucić zemstę na jego dolnych kończynach. Usłyszałam bolesne, pełne rezygnacji westchnienie pani Zofii, a w ślad za nim pytanie: więc może ty, Boska, powiesz w którym roku to było? Czerwona jak burak wynurzyłam się spod ławki. Historię miałam w małym palcu, daty śpiewałam zawsze jak kanarek, ale o jaką w tej chwili chodziło? Zajęta najpierw porządkami, a później pragnieniem zemsty nie słyszałam, o co była pytana Romka Ratajczakówna, która jak zwykle nic nie umiała i maszerowała teraz do swojej ławki z miną obrażonej królowy. – W którym roku to było? – powtórzyłam z rozpaczą, chcąc zyskać na czasie, a jednocześnie kopiąc pod ławkę Wańdzię i rzucając naokoło spojrzenia wołające S.O.S! – To było... w roku... (Mój Boże, żeby wiedziała co mianowicie było w jakimś nieszczęsnym roku, to jużby i data znalazła się!).

Moja sąsiadka i najlepsza przyjaciółka Wańdzia – niestety nie mogła mi nic pomóc, bo czytała pod ławką „Błądą hrabinę” i jeszcze mniej wiedziała o feralnym roku i całym świecie niż ja. Obudzona z letargu moim kopniakiem patrzyła tylko na mnie nieprzytomnym, pełnym wyrzutu wzrokiem. Witek za moimi plecami gwałtownie szeleścił kartkami podręcznika, widocznie szukając daty, gdyż nigdy żadnej nie mógł zapamiętać. Ciele! Myśli, że nie umiem i szuka, żeby podpowiedzieć! A przecież wystarczyłoby szepnąć o co chodzi. Resztę już sama dośpiewam. Basia Szwarzenberg – pilna i dobra uczennica wyciągała szyję, podpowiadając zawzięcie. Niestety, siedziała dość daleko ode mnie, a w dodatku miała fatalną dykcję. Zasłaniała usta ręką, żeby pani Zofia nie zauważyła. Toteż pani Zofia nic nie zauważyła, a ja nie usłyszałam. Stałam w ławce, przestępując z nogi na nogę, czując jak moja opinia dobrej historyczki rozsypuje się w gruzy. I w tej chwili dobiegł mnie głośny „sceniczny” szept Leona Talkiewicza: – czyżby Hanka naprawdę nie wiedziała kiedy był pierwszy rozbiór Polski? – Pierwszy rozbiór Polski! – wykrzyknęłam z taką radością, jakby to było najpomysłniejsze wydarzenie w naszej historii, – pierwszy rozbiór Polski nastąpił w roku 1772! Zadzwoił dzwonek. Pani Zofia pokiwała głową: – wiem, że umiesz dobrze historię, ale kompletnie nie uważasz na lekcjach. Albo kręcisz się i rozmawiasz, albo marzysz o niebieskich migdałach i nigdy nie wiesz co się dzieje w klasie. Zawsze wyglądasz jakbyś spadła z obłoków. Wszyscy profesorowie są tego samego zdania. Myślę, że nawet z matematyką nie byłoby tak źle gdybyś trochę więcej uważała na lekcjach. Pani Zofia miała dużo racji i nieraz czyniłam mocne postanowienie, że od dziś będę siedzieć bardzo spokojnie i słuchać bardzo uważnie. Ale cóż – zawsze miałam zbyt dużo innych zajęć. Albo zwinięty w kulkę liścik spadł na moją ławkę, trzeba więc było przeczytać i odpisać. To znów musiałam szepciem omówić jakąś ważną sprawę z Wańdzią, komuś podpowiedzieć, zapytać się na migi ile minut do dzwonka, kłócić się z Witkiem, który mnie

stale dokuczał. Ach, czyż w ogóle można wyliczyć wszystkie zajęcia i nieprzewidziane sprawy jakie wyłaniały się w czasie lekcji? Jeżeli dodać jeszcze do tego złośliwość przedmiotów martwych, która sprawiała, że książki, ołówki, gumki spadały pod ławkę w najmniej odpowiedniej chwili i trzeba było stale zbierać je i szukać, to staje się jasne, że na spokojne, uważne słuchanie lekcji nie zostawało dużo czasu.

Osobną pozycję stanowiło czytanie pod ławką jakiejś porywającej książki. Wtedy w klasie mogło nastąpić małe trzęsienie ziemi, mógł wybuchnąć pożar, mógł zawalić się sufit – wszystko przeszłoby bez wrażenia. Wyrwana od pasjonującej lektury do odpowiedzi, wyglądałam rzeczywiście jak przybysz z innej planety, który ani rusz nie może zrozumieć skąd znalazł się nagle w tak dziwnym miejscu i otoczeniu. Podobnie było z marzeniami. Zamiast uważnie śledzić rękę profesora Sawickiego, kreślącego na tablicy kolumny zawiłych matematycznych formułek, wolałam z niesmakiem odwrócić głowę w kierunku okna i dać się ponieść marzeniom. Kiedy na dworze dużymi płatami padał śnieg, stawałam się jedną z tańczących w powietrzu śnieżynek. Krążyłam w srebrnym korowodzie, albo spłoszona uciekałam przed długimi białymi rękami usiłującego mnie pochwycić Śnieżnego Czarodzieja. Kiedy do okna zaglądały zielone gałęzie drzew, a na parapecie siadał rozświergotany wróbel i kręcąc czupurnym łebkiem mrugał do mnie oczkiem – momentalnie zamieniałam się w ptaka. Wolałam jednak być jaskółką, ostrzem skrzydełek jak nożyczkami przecinać powietrze, wzbijać się pod obłoki, chwycić w locie muszki i znosić je do gniazdka gdzie szeroko otwarte żółte dzióbki witały mnie radosnym jazgotem. Czasem marzenia przyjmowały inny obrót. Obrazy zaczynały dźwięczeć, śpiewać, układać się w rymy. Z rozpalonymi policzkami chwyciłam ołówek i w matematycznym zeszyte obok zadania algebraicznego rodził się wiersz. A marzenia płynęły dalej, stawały się coraz zuchwalsze. Bo oto widzę siebie jako wielką poetkę, otoczoną tłumami zachwyconych wielbi-

cieli mego talentu. U moich stóp wyrastają stopy kwiatów, koleżanki patrzą z podziwem i zazdrością, chłopcy są pełni nieśmiałego szacunku, a profesor Sawicki od matematyki, wrywa sobie włosy z głowy i pełen skruchy woła: – pomyśleć, że ja stawiałem jej dwóje! Jak mogłem, jak mogłem?!

– Panna Boska pozwoli do tablicy – z daleka, z bardzo daleka dochodzi głos profesora Sawickiego i – niestety – nie ma w nim ani skruchy, ani podziwu.

Panna Boska „pozwoliła” do tablicy, aczkolwiek bardzo niechętnie i teraz wpatruje się jak ciele w malowane wrota, w niezrozumiały labirynt sinusów, cosinusów i innych dziwacznych, nikomu niepotrzebnych hieroglifów. Panna Boska poci się, profesor Sawicki poci, usiłując wydusić kroplę oleju z tej wyjątkowo tępej na matematyczne mądrości głowy. Klasa wyłazi ze skóry. Podpowiadają prawie na głos, pokazują na migi, na palcach, piszą sążniste litery i cyfry na kartce papieru, podniesionej wysoko do góry. Nic nie pomaga. Wszystkie te sposoby dobre są na innych lekcjach gdzie niewiele potrzeba by pochwycić wątek i snuć go dalej. Na matematyce wszystko to upada. Nie, pod tym względem pani Zofia nie miała racji. Żeby wyrosły mi dwie pary uszu, żebym zamieniła się w posąg uwagi i pilność – matematyka pozostanie dla mnie dziewiczą dżunglą, wyspą nieznaną, nie odkrytym lądem. Klasówki jakoś tam klecę, obficie zaopatrzone we wszelkiego rodzaju ściągaczki, ale przy tablicy nie ma na mnie sposobu. Profesor Sawicki z rozpaczą łamie ręce:

– Panno Boska! (należy do nielicznych nauczycieli mówiących do nas per „pani”) – Co z panią jest? Zdaje się inteligentna panienka, ze wszystkich przedmiotów ma pani dobre stopnie, profesor Karasiński i profesor Butkiewicz nachwalić się nie mogą na każdej konferencji, a matematyki pani ani w ząb! Jak mam puścić panią do ósmej klasy? Co będzie jak przyjdzie matura?

Nie wiem co będzie – boję się o tym myśleć. Na razie cieszy mnie uznanie

kochanego Karasia od polskiego i Butka od psychologii i logiki. Na tych lekcjach siedzę wyjątkowo spokojnie, bo są tak pasjonujące, że nie ma czasu na czytanie książek pod ławką i inne zajęcia.

Pocziwy stary Karaś wyklada jak bóg literatury, staje się wtedy młody i piękny – można się w nim zakochać. Chłonę każde słowo, nie potrzebuję już w domu uczyć się. Uwielbiam Karasia i on mnie również darzy sympatią.

– Z ciebie, Hanko, będą ludzie – mówi zawsze, zwracając mi moje wypracowania, pod którymi niezmiennie figurują duże, tłuste piątki.

Niemniej ciekawe są lekcje profesora Butkiewicza z psychologii i logiki. Często daje nam zadania-przykłady, zaczerpnięte z różnych skomplikowanych sytuacji życiowych. Należy opisać jak postąpiłabym w podobnym wypadku, uzasadnić, przeanalizować całą drogę, którą do tego doszłam i wyciągnąć odpowiednie wnioski. Lubiłam te zadania i chętnie nad nimi pracowałam. Profesor Butkiewicz czytając kiwał głową:

– serce, serce! Zawsze górę bierze serce! Ty, dziewczyno, będziesz się w życiu kierować tylko sercem i impulsem, nigdy rozumem i rozsądkiem.

– Jasne! – pisał wtedy złośliwy Witek – jak może się kierować tym czego nie ma!



Serce! „Będziesz się w życiu kierować tylko sercem”. Te słowa szły za mną aż do dziś jak przekleństwo. Może nie tylko profesor Butkiewicz, może jakaś zła wróżka wypowiedziała je jeszcze nad moją kołyską. Ciężkim, niepotrzebnym balastem było dla mnie zawsze to głupie serce. Najpierw ufne, kochające i szczere, szeroko otwarte dla całego świata, dla wszystkich ludzi. Potem niespokojne, zbuntowane, zatrute goryczą i rozczarowaniami. Dziś chore, zmęczone, smutne, ale – niestety – ciągle jesz-

cze wrażliwe na krzywdę i niesprawiedliwość, na fałsz i obłudę, ciągle jeszcze spragnione dobra, piękna i ciepła.

Dziś, uciekając wspomnieniami w dawne lata, chcę wskrzesić na chwilę radosną, niefrasobliwą młodość, rozwijającą skrzydła do lotu, chcę jeszcze raz spojrzeć na świat roześmianymi oczami dziecka, pełnymi wiary w siebie i w innych ludzi.

Czy po latach gorzkich rozczarowań i zawodów, po doznanych krzywdach, po okrucieństwach ostatniej wojny, można zachować wiarę w dobro i wiarę w człowieka? Chciałabym, staram się, bo bez tego jeszcze trudniej żyć. Myślę, że pomimo wszystko wiara taka tkwi na dnie mego serca. Może to ona każe mi szukać usprawiedliwienia dla niezrozumiałych nieraz postępów ludzi. Bo jak to się dzieje, że często człowiek uważany powszechnie za porządnego, a nawet dobrego, taki który potrafi płakać na wzruszającym filmie, albo nad smutnymi dziejami książkowych bohaterów, przechodzi obojętnie obok znacznie większej tragedii życiowej drugiego człowieka? Gorzej – bywa częstokroć sam sprawcą tej tragedii. Albo rzuca się z furią na czyjeś dobre imię, szarpie je, wdeptuje w błoto. Brak serca? Premedytacja? Zły, podły, wypaczony charakter? A może tylko zaślepienie, głupota, nieumiejętność zrozumienia ogromu cudzych cierpień, zapatrzenie jedynie we własne sprawy, które zawsze są najważniejsze. Krańcowy, wybujały egoizm, zdążający do zaspokojenia własnych instynktów, broniący dostępu do siebie wszelkim lepszym uczuciom, bo mogą zmącić spokój, kazać na chwilę zapomnieć o sobie i osobistych wygodach.

Pamiętam, jak po wielu latach wojennej tułaczki wracałam do Kraju – ciężko chora na serce, ale szczęśliwa, że znowu oddycham polskim powietrzem, że widzę polskie niebo i polskie kwiaty. Chciałam całować ziemię, za którą tak strasznie tęskniłam i nie martwiłam się wcale, że nie wiem dokąd jadę, że nikt na mnie nie czeka, że nie mam jeszcze kąta, gdzie wraz z dziećmi mogłabym znaleźć schronienie. Dopiero, gdy wieczorem zatrzy-

maliśmy się na jakiejś stacyjce i zobaczyłam oświetlone prostokąty okien w pobliskich budynkach, uświadomiłam sobie nagle, że i tu w Polsce jeszcze jestem bezdomna.

Za oświetlonymi oknami żyli ludzie. Tam był ich dom, tam było jakieś spokojne uregulowane życie. Firanki w oknach, kwiaty. A ja przez tyle lat nie miałam domu! Było mi żal siebie, dzieci. Ale go teraz odnajdę, stworzę na nowo – ta myśl łagodziła ból.

Pamiętam, na Śląsk jechaliśmy w gorący, upalny dzień. W ciasnym, nabitym ludźmi przedziale, było niesamowicie duszno. Wśród zażywnych babinek, obładowanych koszami i workami, jak kwiatek w pokrzywie, tkwił jakiś elegancki pan z twarzą starego satyra. Na nas wszystkich patrzył z pogardą i lekceważeniem, jak na hołotę nie zasługującą na żadne względy. Zachowywał się jakby był sam jeden w wagonie. Rozpychał się, deptał nam po nogach, puszczał w nos kłęby dymu. Na jakiejś stacji weszła do naszego przedziału wystrojona i niebrzydka panienka. W mig została zawarta znajomość: „satyr” rozplýwał się w komplementach, sypał dwuznacznikami, panna kokietowała go zawzięcie. W końcu usunęli się pod okno, zasłonili je sobą zupełnie, szeptali coś do siebie, tulili się. Zaczęłam się dusić, czułam, że zbliża się atak. Dzieci patrzyły na mnie z niepokojem, kobieciny ze współczuciem. Słabym głosem poprosiłam grzecznie flirtującą parę, żeby usunęła się trochę od okna i dała dostęp powietrzu. Nie zwrócili na mnie żadnej uwagi. Wtedy babinki ujęły sprawę w swoje ręce. Z jazgotem napadły na „satyra”: – ta odstęp się pan do cholery od tego okna! Też znalazł sobie miejsce na amory! Nie widzisz, że chora kobieta jedzie? „Satyr” odwrócił się od okna i spojrzał na mnie ze złością: – jeżeli pani chora, to czemu w domu nie siedzi, tylko podróżuje? Poczułam ból w sercu, do oczu napłynęły łzy: – ja nie mam domu – powiedziałam cicho – ja już od wielu lat nie mam domu. „Satyr” przyjrzał mi się uważnie i natychmiast odszedł od okna, pociągając za sobą panienkę. Do końca podróży

byli oboje dla mnie uprzedzająco grzeczni i troskliwi.

Drobne, nieważne wydarzenie, jakich tysiące spotykamy na każdym kroku w życiu codziennym. Myślę jednak, że ten przykład potwierdza moje przekonanie, że trzeba umieć natrafić na lepszą, wrażliwszą strunę w duszy człowieka, a odezwie się w końcu. Tylko, że przeważnie struna ta ukryta jest tak głęboko, że trudno się do niej dostać.

Przyjechałam do Polski, żeby odnaleźć utracony dom. Kiedyś miałam ich w życiu dość dużo. Były luksusowe i ubogie, były przytulne i nieprzytulne, ciepłe i zimne. Były wśród nich zamki na lodzie i zwykłe dziecinne domki z kart. Wszystkie runęły, rozsypały się w gruzy, wszystkie zmiotła jakaś zawierucha albo złe fatum. Mój obecny dom jest bardzo skromny: trochę smutny, trochę czasem pusty i zimny, ale mój własny, mój dach nad głową. Moje oświetlone wieczorem okna, których mogą mi pozazdrościć bezdomni.

Kiedyś dla mnie zapalono takie złote światełka, które z daleka witały mnie, pozdrowiały i grzały swoimi promieniami. Potem okna zaczęły gasnąć – jedno po drugim. Dziś wszystkie są ciemne, dziś ja muszę zapalać światło, żeby mój syn, wracający wieczorem, żeby moja córka gdy zechce odwiedzić matkę widzieli, że czeka ich za złotymi szybami ciepło macierzyńskiego serca. Przyjdzie wieczór, gdy zobaczą tylko pusty czarny prostokąt. Wtedy będzie im smutno...



Czy można było nie umieć literatury polskiej i historii, chodząc do Koedukacyjnego Gimnazjum Humanistycznego w Wilnie? W mieście, gdzie każdy zakątek jest żywą historią, gdzie błąka się cień Mickiewicza, gdzie znajdują się mury Bazylikańskie i cela, w której „umarł Gustaw, narodził się Konrad”?

Teoretycznie cała nasza VII klasa uważała to za niemożliwe. W praktyce – było różnie. Faktem jest tylko, że jakkolwiek bardzo przez wszystkich lubiana, nigdy nie doznawałam takich objawów szacunku i uwielbienia jak przed klasówką lub zadaniem domowym z polskiego, kiedy to moja pomoc stawała się niezbędną. Zamówienia przyjmowałam z całą powagą, skrzętnie zapisując kolejność w kieszonkowym kalendarzyku. Wszyscy chłopcy w liczbie dwunastu byli lepszymi matematykami niż polonistami, z wyjątkiem chyba Witka Markowskiego, figlarza i łobuza, który w ogóle uczył się bardzo miernie. Nazywaliśmy go „diabłem” za jego psie figle i złośliwość, co zresztą nie przeszkadzało mu być bardzo solidarnym kolegą.

Prawie wszyscy w klasie mieli swoje przezwiska. Mnie, jako najmłodszą, nazywano „dzidziusiem”, „wiercipiętą” i „żywym srebrem”, bo nie umiałam chwili usiedzieć spokojnie.

Leona Talkiewicza, zawsze trochę ponurego, patrzącego z niezmierną pogardą na „smarkaterię”, czyli nas wszystkich, przezwaliliśmy „starym kawalerem”. Leon, najstarszy z nas, mówił basem, skrobał scyzorykiem górną wargę i po kryjomu palił papierosy.

Jurek Czartoryski otrzymał przydomek „książe”, bo ponoć był z tą magnacką rodziną spokrewniony. Zresztą wyglądał i zachowywał się tak nienaganie, jak prawdziwe książętko. Zawsze ładny, czyściutki, elegancki, o kręconych blond włosach i małych, białych rękach, nigdy nie poplamionych atramentem. W Jurku kochało się mnóstwo dziewczynek, co mnie ogromnie śmieszyło, bo jak można kochać się w koledze, z którym siedzi się prawie w jednej ławce i który jest tylko „chłopcem”, mogącym tak samo jak ja, w każdej chwili oberwać dwóję.

Moją najlepszą przyjaciółką była „sikorka”, czyli Wańdzia Balicka, pulchniutka różowa blondyneczka o dużych szarych, zawsze trochę zdziwionych oczach.

Przyjaźniłam się też z Zulą Achmetówną, śliczną, przemiłą Tatareczką.

Czarna jak żuk, miała żywe, lekko skośne oczy i białe jak kreda zęby lśniące w ciemnym, wiecznie roześmianym pyszczku.

Wańdzia i Zula były niewiele ode mnie starsze, toteż rozumiałyśmy się najlepiej.

Nie lubiłam natomiast Romy Ratajczakówny, którą przezwałyśmy „hrabinią”, bo jako najstarsza z dziewcząt, traktowała nas z góry. Kręciła włosy nad czołem w drobne loczki, pomimo zakazu wychowawczyni – pani Zofii, która już kilkakrotnie posyłała Romkę „pod kran”, żeby rozmoczyła sobie „kudły”. Roma stale się w kimś kochała i zanudzała wszystkich opowiadaniem o swoich podbojach. Uczyła się bardzo źle, w siódmej klasie siedziała już drugi rok, bo jak twierdziła, wszyscy się jej „czepiają” i w ogóle nie ma sprawiedliwości na świecie.

Do najstarszych w klasie należała również Ola Michejówna – „kujon”. Ola była nielubiana przez wszystkich, jako wyjątkowo niekoleżeńska i zazdrośna o stopnie. Nigdy nikomu nie podpowiadała, nigdy nie posłała żadnej ściągaczki, nikomu nie pomogła. Na pauzach nie brała udziału w naszych spacerach, bieganiach i rozmowach. Zawsze z nosem utkwionym w książce coś kuła, coś powtarzała, odseparowana od wszystkich. Nie miała wielkich zdolności i pomimo ciągłego wkuwania otrzymywała stopnie zaledwo dobre. W stosunku do mnie była wyjątkowo zazdrośna. Zdarzało się, że nie byłam przygotowana z jakiegoś przedmiotu. Na pięć minut przed lekcją pytałam nerwowo: – dziewczynki, co było zadane? – i prędko wertowałam podręcznik, żeby choć po łebkach zapoznać się z zadaną lekcją. Wyrwana potem przez profesora śpiewałam jak ta lala i otrzymywałam czwórkę albo nawet piątkę. Ola aż zieleniała z zazdrością na pauzie wykrzykiwała na całą klasę: – to niesprawiedliwe! Hanka się wcale nie uczyła i dostała lepszy stopień ode mnie!

– A co cię obchodzi czy się uczyła? – broniła mnie Zula – grunt, że umiała i na dobry stopień zupełnie zasłużyła.

– Żebym ja miała twoje zdolności – wzdychała Ola, patrząc na mnie z wyrzutem i zaraz dodawała złośliwie:

– no, ale z matematyki to ty zupełny głab! Dłuższy czas nie lubiłam Oli, aż kiedyś rozżaliła się przede mną i opowiedziała mi o swoich warunkach. Ojciec umarł, matka – prosta, niewykształcona kobieta, obarczona pięciorgiem dzieci, z których Ola jest najstarsza, zapracowuje się żeby wyżywić rodzinę. Chodzi po ludziach sprzątać i prać bieliznę. Dłuższy czas nie chciała nawet słyszeć o kształceniu Oli, bo „nauka drogo kosztuje, lepiej iść do pracy i ulżyć w domu”. Ola do dziś stacza z nią ciężkie walki o szkołę, bo pragnie nie tylko skończyć gimnazjum i zdać maturę, ale zapisać się potem na uniwersytet. Będzie harować jak wół, ale dopnie swego!

– Śmiejecie się ze mnie, że ciągle kuję – mówiła do mnie – wiem, że nie mam wybitnych zdolności, ale też żebyś zobaczyła, w jakich warunkach ja się uczę! Mieszkamy w suterynie, w ciasnej, ciemnej, wilgotnej izdebce. Dzieciaki cały dzień krzyczą, matka piekli się. Nie mam nawet stołu żeby rozłożyć książki i zeszyty. Zadania odrabiam przy świetle naftowej lampki, klęcząc na podłodze przy kulawym stołku. Do tego często jestem głodna, aż mi kiszki skręca.

Zrobiło mi się bardzo, bardzo przykro po wysłuchaniu tej spowiedzi. I wstyd. Wstyd, że też wyśmiewałam się z olinego wkuwania, że ją nie lubiłam i że sama miałam tak wspaniałe warunki do nauki.

– Słuchaj, Olu, – powiedziałam nieśmiało – ja mam w domu osobny pokój, możesz przychodzić zawsze po południu i odrabiać lekcje u mnie.

Ucieszyła się: – naprawdę? A twoja mamusia nie będzie niezadowolona?

– Co do tego, możesz być zupełnie spokojna – zapewniłam. No to dziękuję ci bardzo i skorzystam z radością. Dobra jesteś dziewczynka!

Lody zostały przełamane. Ola przychodziła co dzień i całe popołudnia spędzała w moim pokoju nad książkami. Mamusia przyjęła ją bardzo serdecznie. Gorący obiad, nawet wtedy, gdy Ola zjawiała się później, zawsze cze-

kał na nią, a pakując mi do teczki obfitsze niż zwykle śniadania, mamusia przypominała codziennie: – podzielisz się z tą biedną Olą, tylko delikatnie to rób – żeby ją nie urazić.

Ola zmieniała się na lepsze – stała się weselsza i bardziej koleżeńska. Zmienił się też całkowicie stosunek klasy do niej.



Rozdział II

Dzieciństwo

Wczesne dzieciństwo upłynęło mi pod znakiem dobrobytu, a nawet według dzisiejszych pojęć, pewnego luksusu. Pamiętam duże mieszkanie, obszerne pokoje, zastawione modnymi wówczas, masywnymi meblami, obwieszone aksamitnymi portierami, pełne różnych niepotrzebnych gracików. Pamiętam pokojówkę w białym fartuszkach i sztywnym czepeczku, huczne przyjęcia, na których do stołu zasiadało dużo wystrojonych osób.

Miałam mnóstwo zabawek i ślicznie oprawionych książek, ubierano mnie jak laleczkę i opychano smakołykami. Miałam nianię, później bonę, nauczycielkę muzyki i drugą, która przygotowywała mnie do gimnazjum.

Przed moim urodzeniem, rodzice stracili kilkoro dzieci, przyszedłam na świat dość późno, a że byłam wątła i chorowita, żyli w ustawicznym lęku i niepokojach. Spełniano każde moje życzenie, a nawet kaprysy, chuchano i dmuchano na mnie jak na cieplarnianą roślinkę. Krewni twierdzili, że „tylko ptasiego mleka Hance brakuje” i że rodzice chętnie wsadziliby mnie pod szklany klosz. Jeżeli nie wyrosłam na samolubną egoistkę i zupełnego roroga, jak większość jedynaczek w zamożnych rodzinach, to chyba tylko dlatego, że dogadzając mnie i rozpieszczając, rodzice nie zaniedbywali budzić i rozwijać we mnie lepsze instynkty.

Gdy dostawałam nowe zabawki i sukienki, mówiono mi o dzieciach, które wcale zabawek nie mają i chodzą w łachmanach, aż sama wpadałam na myśl ofiarowania im niektórych swoich rzeczy. Gdy opychałam się drogi smakołykami, rodzice uświadamiali mnie, że dużo ludzi nie ma pieniędzy żeby kupić sobie kawałek chleba i patrzyli z zadowoleniem gdy opróżniałam skarbonkę, w której zawsze brzęczało kilka półrubłówek, a idąc na spacer rozdzielałam hojnie swoje oszczędności wśród spotkanych żebra-

ków. Gdy kiedyś niegrzecznie odezwałam się do swojej niani, tatuś po raz pierwszy i jedyny wpadł w gniew, podniósł na mnie głos i kazał natychmiast nianię przeprosić. Potem zabrał mnie do swego gabinetu i długo tłumaczył, że trzeba być bardzo grzeczną i uprzejmą dla wszystkich, a zwłaszcza dla ludzi, którzy dla nas pracują i są od nas zależni. Że niegrzecznym zachowaniem się wyrządzamy im wielką krzywdę, utrudniamy pracę, a siębie samych stawiamy w bardzo brzydkim świetle. Myślę, że i dziś niektórym osobom na stanowiskach przydałoby się takie małe pouczenie.

Sami rodzice byli w stosunku do służby uprzedzająco grzeczni. Mamusia dbała, żeby służba dobrze jadła, żeby miała dobre warunki, obdarowywała ją hojnie przy każdej okazji, nigdy nie podniosła głosu, ale zachowywała pewien dystans. Za to Tatuś, jak twierdzili wszyscy, „rozpuszczał” służbę i „zanadto poufalił się” z nią. Chętnie rozmawiał z kucharką, pokojówką i z moją nianią, żartował z nimi, pobłażliwie i wyrozumiale traktował wszelkie niedociągnięcia, lub zaniedbania, nigdy nikomu nie zwrócił uwagi. Przychodząc do znajomych, witał się ze służbą podając rękę, co jednych mocno szokowało, innych zaś bawiło.

– Demokrata! – mówili pierwsi zjadliwie.

– Oryginał! – uśmiechali się drudzy

Tatuś, czyli Tacik, jak go nazywałam, znany był wszystkim ze swej nieposzlakowanej uczciwości, prawości i szlachetności. Nazywano go obrońcą uciśnionych i „advokat o czystych rękach”. Takim też był. W każdym zbrodniarzu, którego bronił, potrafił doszukać się człowieka, wynaleźć w nim jakąś lepszą iskierkę. Za żadne pieniądze nie brał nigdy spraw zdecydowanie brzydkich i brudnych, choćby z punktu widzenia prawnego były łatwe do wygrania. Natomiast z zapałem podejmował się najtrudniejszej, najbardziej beznadziejnej obrony, często zupełnie bezinteresownie, jeżeli widział, że przestępstwo i upadek człowieka, jest fatalnym zbiegiem okoliczności, albo skutkiem nieświadomości, złego otoczenia, nędzy, krzy-

wdy społecznej.

Kiedyś zapytany przez prezesa sądu, czy nie wolałby przejść na stanowisko prokuratora albo sędziego, odpowiedział: – oskarżać ludzi nie umiem, sądzić boję się, mogę tylko bronić. Chyba coś z tych zasad musiał mnie przekazać w dzieciństwie, bo rzadko ludzi potępiam lub osądzam, a i wtedy mam później wyrzuty sumienia, że nie wzięłam pod uwagę wszystkich okoliczności łagodzących, że może kogoś skrzywdziłam.

Pamiętam, jak w ostatnich latach życia tatusia, przyszła do niego jakaś młoda wiejska kobieta prosząc by wziął jej sprawę. Wyrzuciła z domu starą matkę, gdy ta przepisała na nią całą gospodarkę. Matka zaskarżyła ją do sądu, chciała więc powierzyć ojcu obronę. Skoczył do niej jak tygrys: – co-o?! Ja mam bronić potwora?! Wyrodną córkę, która zapomniała co jest winna matce?! Precz mi z oczu! Proszę mi tu przysłać swoją biedną starą matkę, poprowadzę jej sprawę zupełnie za darmo!

Dla mnie Tacik był źródłem najpiękniejszych, niewyczerpanych bajek. Wiezorami przychodziłam do jego gabinetu już od drzwi wołając: – Tacik, bajki! Wyłąziłam na niska turecką otomanę, Tacik siadał przy mnie i zaczynał opowiadać. Dziwne i śliczne były te bajki, nigdzie potem takich nie czytałam, ani od nikogo nie słyszałam. O dziewczynce, co się zabłąkała na mlecznej drodze, szukając kwiatu paproci. O innej – samolubnej i bezmyślnej strojnisi, zamienionej przez wróżkę w barwnego kolibra i uwięzionej w olbrzymiej złotej klatce i wiele, wiele innych. Słuchałam z zapartym tchem, aż w końcu mamusia stawała w drzwiach gabinetu, oznajmiając, że najwyższy czas iść spać.

– Jeszcze! Jeszcze chwileczkę! – błagałam, ale mamusia była nieugięta.

– Patrz – mówiła do Tacika z wyrzutem – dziecko ma wypieki, może dostać gorączki i w nocy znowu będzie się rzucać. Nie powinieneś opowiadać jej bajek wieczorem, jest taka wrażliwa.

Pewnego razu Tacik przyniósł mi obrazek. Przedstawiona była na nim

śliczna pani w powłóczystych szatach, z długimi rozpuszczonymi włosami. Piękna twarz i wzniesione do góry oczy wyrażały cierpienie. Na głowie miała cierniowy wieniec, ręce skute łańcuchami, a u nóg również przykuty łańcuchem biały orzeł o rozpostartych skrzydłach.

– Patrz – powiedział Tacik, podając mi obrazek – to jest męczeńska Polska. Tego wieczora na tureckiej otomanie zamiast bajek usłyszałam pierwszą lekcję historii. Dowiedziałam się też wtedy, że jestem wnuczką powstańca 63 roku i że mam być z tego dumna.

Obrazek mamusia zawiesiła nad moim łóżeczkiem pod innym, przedstawiającym Matkę Boską Nieustającej Pomocy.

Jeżeli Tacik był od bajek, to mamusia, czyli Muśka, wybitnie „od piosenek”.

Zdarzało się, że Tacik wieczorami był zajęty i nie miał czasu opowiadać, albo ja byłam zanadto śpiąca. Wtedy zaraz po kolacji wdrapywałam się Muśce na kolana i prosiłam: – zaśpiewaj mi! Zamykałam oczy. Samowar na stole szumiał, w ramionach Muśki było ciepło, przytulnie i jakoś bezpiecznie, a śliczne piosenki nucone jej miłym, dźwięcznym głosikiem tak cudownie usypiały. Znała tych piosenek mnóstwo, ale szczególnie lubiłam jedną kołysankę, która do dziś pozostała mi w pamięci:

Śpij, dziecinko, zaśnij już,
śliczne oczka słodko zmruż!
Niańczyć ciebie będzie wiatr,
złote słońko, orzeł z Tatr!
Wrócił orzeł do swych gór,
słońko skryło się wśród chmur,
tylko wiatr pozostał tu,
by kołysać cię do snu.
Gdy do domu mknie co sił,
matka pyta: – gdzieżeś był?
Czy goniłeś stada fal,
czyś wśród gwiazd urządził bal?
Nie ruszałem złotych gwiazd,

nie zwiedzałem pięknych miast,
nie pędziłem fal na brzeg,
tylkom małej Hani strzegł!

Chociaż miałam nianię, Muśka sama układała mnie do snu. Odmawiała ze mną paciorek, otulała kołderką, a potem całowała w czoło i kreśliła nade mną znak krzyża.

Muśka pokazywała mi pierwsze litery, bawiła się ze mną i czytała na głos, dopóki sama nie opanowałam tej sztuki. Wtedy zaczęłam pochłaniać książki, miałam ich też mnóstwo. Nie przepadałam za lalkami i zabawkami, ale książki były zawsze najmiłym, najbardziej pożądanym prezentem. Wielką atrakcją było przyglądanie się rodzicom, gdy wybierali się na bal. Podziwiałam Tacika w czarnym fraku, z olśniewająco białym gorsem sztywnej koszuli, zachwycałam się Muśką, wystrojoną w lśniąca suknię z trenem, pachnącą mocnymi francuskimi perfumami „coeur de Jeanette”.

Ale gdy już odjechali, robiło mi się smutno i zbierało na płacz. Mieszkanie stawało się za duże, po kątach czaiły się strachy.

Rodzice czasem sprzeczekali się ze sobą. Wysyłali mnie wtedy do dzieciennego pokoju, a sami zamykali się w najbardziej odległym od niego salonie. Wiedziałam co to znaczy i ogarniało mnie przerażenie. Słyszałam kiedyś jak ubolewano nad pewną dziewczynką, której rodzice pokłócili się i „rozeszli”. Dziewczynka pół roku spędza u matki, a drugie pół u ojca. A co, jeżeli Tacik z Muśką pokłóca się, rozejdą i nie będę ich miała razem? Bładłam, serce zaczynało mi walić, nie mogłam ani bawić się, ani czytać, tylko krążyłam po pokoju i powtarzałam cichutko: – Boże, Boże, niech się nie kłóca, niech się tylko nie kłóca! Spraw, żeby się pogodzili prędzej! Wreszcie wymykałam się cichutko z dzieciennego pokoju i zaczynałam skradać się w kierunku salonu. Jeżeli stamtąd dobiegł mnie trochę podniesiony głos Tacika albo pochlipywanie Muśki, wpadałam do nich błada, drżąca, wystraszona.

Kłótnia urywała się natychmiast. Zwykle któreś z rodziców mówiło wtedy z wyrzutem: – patrz, do czego ty doprowadzasz to dziecko!

Ale widziałam, że w dalszym ciągu gniewają się, że burza jeszcze nie przeminęła.

Chwytałam ich za ręce, ciągnęłam do siebie i wołałam z płaczem: – pogódźcie się, w tej chwili! Ale to w tej chwili, bo inaczej zobaczycie, że zachoruję i umrę! Skutek tego niewinnego szantażu był niezawodny. Pryskały wszelkie urazy i nieporozumienia. Przerażeni straszliwą groźbą rodzice natychmiast zawierali pokój, a ja, jeszcze blada i roztrzęsiona, uśmiechałam się przez łzy i tryumfowałam.

W ósmym roku życia zachorowałam ciężko na szkarlatynę, byłam już umierająca. Wtedy rodzice nad moim łóżeczkiem złożyli uroczystą przysięgę, że jeżeli wyzdrowieję, nigdy już do końca życia nie pokłócą się i nie posprzecząją. Słowa dotrzymani, nigdy już potem nie musiałam ingerować.

Nie wiem czy każde dziecko tak odczuwało radość życia jak ja. Nieraz aż dech zapierało ze szczęścia, chciało się gdzieś pędzić, lecieć, cały świat objąć i przytulić do serca. Łzy napływały do oczu bez żadnej przyczyny, ale jasne, radosne łzy. Powtarzałam w myśli: – jak dobrze żyć! Boże, Boże, dziękuję Ci, że świat jest taki piękny, że żyję, że widzę to wszystko!

Szczególnie mocno odczuwałam tę radość latem, które spędzaliśmy zwykle nad morzem. Zrywałam się wtedy raniutko, bez żadnych grymasów zjadałam śniadanie i wyciągałam bonę na plażę. Tu wpadałam w jakiś szal: tarzałam się w piasku, pluskałam w wodzie, chłonełam w siebie otaczające cuda. Olbrzymi błękitny obszar morza z bielejącym na horyzoncie żaglem, z pluskiem uderzające o brzeg fale i złocisty gorący piasek – to wszystko pływające się w słońcu wydawało się wyczarowaną przez dobrą wróżkę bajką. Wyteżałam oczy chcąc ujrzeć wypływające z głębin morskich rusalki. Chwilami byłam nawet pewna, że widzę długie złote włosy, kołyszące się na falach i słyszę przedziwny śpiew. Łapałam wiaderkiem wodę,

w której było pełno małych zwawych rybek. Zbierałam muszle, kawałki wyrzuconych przez morze bursztynów i okrągłe, gładkie, jakby wypolerowane kamyki.

W południe na molo zwijano czerwoną chorągiewkę i na jej miejscu wieszano białą. Było to sygnałem dla piękniejszej połowy rodzaju ludzkiego, że ma bezzwłocznie opuścić plażę, którą obejmują we władanie mężczyźni. Niektóre, co piękniej zbudowane niewiasty chronicznie „nie zauważały” zmiany chorągiewki i z piskiem zaczynały się ubierać, gdy pierwsze szeregi mężczyzn uroczyście wkraczały na plażę. Mój Boże! Gdzie te cnotliwe czasy bezwzględnej separacji „od plaży i od morza”?! Czasy długich do kolan kostiumów kąpielowych z małymi dekolcikami i szerokimi ramiączkami, w których też nie wolno było pokazać się na oczy mężczyźnie! Dziś leży sobie bractwo pokotem jedno obok drugiego, wystawiając na działanie słońca i widok publiczny różne części grzesznego ciała. I na nikim to już nie robi specjalnego wrażenia. Czasem tylko ktoś cmoknie z zachwytu w obliczu posagowych kształtów jakiejś boginki, albo splunie ukradkiem na widok wylewającej się jak ciasto z formy góry zwiotczałego tłuszczu.

Po południu chodziłam na spacer do pachnącego żywicą lasu. Tam była siedziba bajki. Tam mieszkaly różne leśne stwory. Po ścieżkach z chichotem, drażniąc i zwodząc biegało Echo. Z dziupli starego drzewa wychylało kudłatą głowę złośliwe zielone Licho.

Ale najwięcej w lesie było krasnolódków. Roilo się od nich w krzakach. Przekrzykiwały się, naśladując ptasie głosy, z szelestem wyskakiwały mi nieraz spod nóg, wabiły kolorowymi czapeczkami, a gdy ich dopadłam chytrze zamieniały się w śliczne różnobarwne grzybki. Krasnoludki mieszkaly zresztą nie tylko w lesie. Pełno ich było w ogrodzie przed naszą willą. Kryły się w trawie i pod kwiatami, bo w kielichach kwiatów mieszkaly maluśkie śliczne elfy o przezroczystych jak krople rosy skrzydełkach.

Kiedy w ogrodzie pod rozłożystym drzewem jedliśmy podwieczorek, krasnoludki kręciły się pod stołem i musiały im rzucać okruchy różnych przysmaków. Odwdzięczały się mnie za opiekę wielką przyjaźnią. Wieczorami, gdy leżałam już w łóżeczku, zakradały się do pokoju, siadały na mojej poduszce i z rękawów swoich barwnych kubraczków wytrząsały śliczne srebrne sny. Zasypiałam słodko, kołysana szumem fal i krasnoludkowym bajaniem.

Wielkim moim zmartwieniem było wówczas to, że nie mam rodzeństwa. Zazdrościłam innym dzieciom, że mają siostry i braci, z którymi mogą się bawić i dzielić każdym przeżyciem. Czułam się trochę osamotniona i zagubiona wśród dorosłych, wtedy gdy tak bardzo pragnęłam towarzystwa rówieśników. Czasem bawiłam się z moimi kuzynkami – Marysią, córką cioci Ziuty i Lolą – cioci Zosi. Obie były starsze ode mnie o parę lat i dopóki miałam do czynienia z jedną z nich, zabawa zawsze była bardzo udana. Ale gdy zeszły się obie – momentalnie zaczynały się mądrzyć i udawać dorosłe. Ja wtedy stawiałam się „za mała”, „za głupia”, nie nadawałam się do żadnych zabaw, nie wtajemniczały mnie też w żadne sekrety, które szeptały sobie na ucho, „bo tobie tego nie można mówić”. Zabierały moje najlepsze lalki, przydzielały mnie najgorsze funkcje przy każdej zabawie. Czułam się wtedy bardzo nieszczęśliwa i pragnęłam, aby już sobie poszły. Pocieszałam się tylko, że już niedługo złożę egzamin wstępny do I klasy gimnazjum, a wówczas będę miała dużo koleżanek. Moja nauczycielka zapewniała, że jeżeli z arytmetyką dam sobie radę, to reszta pójdzie na egzaminie śpiewając.

Tacik marzył głośno: – skończysz gimnazjum, pójdiesz na uniwersytet. Do tego czasu z pewnością kobieta wywalczy sobie równe prawa i będzie mogła zostać adwokatem. Obejmiesz moją kancelarię i będziesz bronić ludzi jak ja.

– Kiedy ja wolę być lekarzem, Taciku! Chcę leczyć biedne chore dzieci

zupełnie za darmo!

Tacik zamyślił się: – cóż, może masz rację, w ten sposób można jeszcze lepiej służyć ludziom. Obawiam się tylko, że jesteś na to za wrażliwa. Lekarz musi ciągle patrzeć na cudze cierpienia. Zresztą studia są przykre, trzeba krajać nieboszczyków.

Ta wiadomość trochę ostudziła mój zapał do medycyny.

– To może będę wielką artystką albo zacznę pisać książki – oznajmiłam po namyśle.

Tacik zaśmiał się: – kto wie? może... Zresztą zobaczymy, czas pokaże.

I czas pokazał. Urwała się nagle beztroska bajka mego wczesnego dzieciństwa. Podczas pierwszej wojny światowej, ogarnięci falą uciekinierów, znaleźliśmy się bez żadnego dobytku, prawie tak jak staliśmy, w głębi Rosji. Tam wpadliśmy w wir rewolucji. Przyszły dni trudne i niespokojne. Tatuś został aresztowany i skazany na rozstrzelanie. Od śmierci wyratował go w ostatniej chwili dawny klient – były więzień polityczny, którego Tacik kiedyś bronił tak zażarcie, że jak mówiono potem „wydostał go ze stryczka”. Teraz z kolei on uratował Tacikowi życie. Jednak przejścia te bardzo go załamały i rozgoryczyły. Nie mógł się pogodzić z myślą, że on, uważany przez wszystkich za liberała, on, który brał żywy udział w ruchu postępowym, a w 1905 roku przez dłuższy czas musiał ukrywać się przed poszukującą go carską żandarmerią, – teraz został „burżujem” i „wrogiem ludu”, chociaż spraw tego ludu tak gorąco zawsze bronił.

Po dłuższych zabiegach i staraniach udało się Tacikowi wykołatać zezwolenie na powrót do Polski i w końcu grudnia 1919 roku po wielu przygodach wróciliśmy do Wilna.

Tam trzeba było zaczynać wszystko od początku i nigdy już do dawnego dobrobytu nie doszliśmy.

Mieszkanie skurczyło się do trzech pokoi z kuchnią, służba – do jednej poczciwej, trochę gapiowatej Józki. Ale rodzice się nie przejmowali.

– Wyszliśmy cało z tej zawieruchy, a to najważniejsze – mówił Tacik z humorem – reszta – rzecz nabyta. Powoli dorobimy się znowu.

– Gorzej było w czasie wojennej tułaczki – dodawała Muśka – a i dziś ile jest ludzi, którzy mogą nam pozazdrościć.

Życie zaczęło się stabilizować, praktyka tatusia rozwijała się na nowo, warunki z czasem uległy poprawie.



Rozdział III

Stasiuk

Piękny jesienny, trochę zimny poranek. Z sercem ściśniętym niepokojem biegnę do gimnazjum. Jest jeszcze bardzo wcześnie, ale na pierwszej godzinie mamy klasówkę z matematyki. W takie dni wszyscy są na miejscu już od wpół do ósmej. Trzeba przecież odpowiednio przygotować się, omówić sprawę ściągaczek, przewertować podręczniki i przerobić na tablicy, pod okiem największych matematycznych asów, kilka przykładów. Więc i ja, chociaż mnie nic nie rozjaśni w głowie nawet gdybym przyszła do klasy o północy, wychodzę w takie dni wcześniej z domu. Czekam jeszcze po drodze dłuższą rozmowę z Matką Boską Ostrobramską. Co dzień, idąc do gimnazjum, zatrzymuję się chwilę w Ostrej Bramie, bo wiadomo, że bez tego, bez krótkiej żarliwej modlitwy przed cudownym obrazem, dzień szkolny może wypaść katastrofalnie. Jeżeli jest późno i nie ma czasu na wchodzenie do kaplicy, to przyklękam na króciutki pacierz wprost na chodniku w wąskiej uliczce, nad którą jak duża złota gwiazda zawieszona w powietrzu, lśni cudowny obraz. Takie klęczenie na ulicy nikogo nie dziwi, bo pełno tu przez cały dzień do późnego wieczora, a nawet w nocy, rozmodlonych klęczących postaci.

Dziś jednak wyszłam z domu tak, żeby mieć czas na wejście do kaplicy. Z Matką Boską Ostrobramską łączą mnie przyjazne, a nawet poufale stosunki. Rozumiemy się zresztą doskonale. Kiedy składając ręce błagam Ją o dobry humor profesora Sawickiego, o otrzymanie na czas bardzo dokładnej ściągki i o tróję z minusem zamiast dwójki z matematyki, oczy Jej patrzą na mnie z wielką dobrocią i wyrozumiałością.

– Wiem, dziecko, wiem – mówią – twoja biedna łepetyna absolutnie nie nadaje się do rozwiązywania skomplikowanych zadań. Idź w spokoju i nie

martw się – jakoś to załatwimy.

Inaczej sprawa wygląda, gdy rozczytana w porywającej książce, porwana dziejami bohaterów, zaniedbałam przygotowania lekcji z jakiegoś innego przedmiotu. Wtedy w odpowiedzi na żarliwe błaganie, żeby mnie nie „wyrwano” otrzymuję surowe i smutne spojrzenie ślicznych zadumanych oczu.

– Ty, leniu zatracony, – czytam w nich – żebyś odłożyła książkę na jedną godzinę i wzięłabyś się do lekcji, wszystko byłoby w porządku. Otrzymałaś od Boga zdolności i świetną pamięć, ale nie chce ci się palcem w bucie kiwnąć! Wolisz mnie prosić o pomoc? Nie pomagam leniom i nierobom! Wstydz się! Wstydziłam się, obiecywałam poprawę i odchodziłam zgnębiona.

Ale dziś oczy Ostrobramskiej były pełne łagodności i krzepiących obietnic. Wyfrunęłam więc z kaplicy lekka jak ptak.

– Paniczka kochanieńka, dajcie grosiczek! – usłyszałam nagle cichutki głosik gdzieś nisko, prawie u swoich kolan. Mały, bardzo chudziutki i przeraźliwie brudny chłopaczek wyciągał do mnie czarną, cienką, patykowatą rączkę. Spod szopy płowych skołtunionych loków patrzyły duże, błękitne jak niebo oczy. Miał na sobie strzępy spodenek, brudną, rozchełstaną na piersi koszulinę i przebierał bosymi zmarzniętymi nóżkami

Pochyliłam się do niego: – kto jesteś? jak się nazywasz?

– Stasiuk.

– Gdzie twoja mamusia, tatuś?

Spojrzał w górę swoimi ślicznymi oczami: – u Ostrobramskiej!

– W kaplicy? – nie zrozumiałam.

– Nie, w niebie! – sprostował z powagą.

– A gdzie ty mieszkasz?

– U ciotki Helki, ale to nie jest prawdziwa ciotka, ona mnie bije i każe chodzić po proszonym

Serce we mnie zamarło z żalu

– A... jeść ci daje?

Namyślał się chwilę.

– Daje – powiedział stanowczo – dziś dała mnie chleba z cebulą, a wczoraj kartofle i śledzia.

Czułam, że się zaraz rozbeczę. Co robić? Nie wystarczy przecież oddać dzieciakowi swoje śniadanie i wszystkie drobne pieniądze, jakie przy sobie miałam. Wracać do domu? Zaprowadzić go do mamusi? Spóźnię się na klasówkę.

Zdecydowanym ruchem ujęłam jego brudną łapkę.

– Choć, idziemy!

– Na policję? – przestraszył się.

– Na żadną policję – ofuknęłam – idziemy do... do szkoły!

– Do szkoły! – ucieszył się. – Józiuk Pliszków chodzi do szkoły i mówi, że tam dobrze, ciepło. Mleko dają i bułki.

– Ty też dostaniesz – zapewniłam go. Dreptał obok mnie ochoczo, podskakując na swoich chudych nóżkach.

Nie miałam jeszcze żadnego planu, wiedziałam tylko, że dzieciaka na ulicy nie zostawię.

Na korytarzu w gimnazjum jeszcze panowała cisza i pustka. To mi było bardzo na rękę. Przemknęliśmy niezauważeni i weszli do klasy. Tam był już komplet. Odbywały się przedklasówkowe narady. Kilka osób stłoczyło się przy tablicy, reszta wertowała podręczniki, przechadzała się po klasie, coś sobie powtarzała.

Nasze ukazanie się w drzwiach wywołało sensację. W jednej chwili byliśmy otoczeni. Nawet grupa największych kujonów, zgromadzona przy tablicy, porzuciła swoje zajęcie i przybiegła do nas.

Hałas też zrobił się niesamowity. Ze wszystkich stron padały okrzyki:

– ach, jaki śliczny chłopaczek!

– A jaki brudny! – Hanka, skąd go wzięłaś? – co to za dziecko?

Malec oszołomiony tak hucznym powitaniem przytulił się do mnie, spuścił główkę i patrzył z pode łba niebieskimi ślepkami.

Leon Talkiewicz zbliżył się do nas i zmierzył mnie pogardliwym spojrzeniem: – ta smarkata nie wie już co wymyśleć! Zawsze musi rozpętać jakąś nową awanturę. Kiedyś przytaszczyła do klasy sparszywiąłego kociaka, potem kundla ze skaleczoną łapą. Następnym punktem programu była wrona z przetrąconym skrzydłem. Spodziewałem się, że lada dzień przyprowadzi jakąś zbiedzoną dorożkarską szkapę, a tu jeszcze lepiej – dziecko! Czy też jest jakieś przetrącone?

– Twój język jest przetrącony! – warknęłam. – A w ogóle proszę cię bardzo, nie porównuj mego Stasiuczka ani do szkapy, ani wrony, ani kociaka. To jest biedne dziecko, które nie ma rodziców, tylko złą ciotkę co go bije i głodzi i wysyła na żebry! Musimy się nim zaopiekować.

– Ale gdzieś go znalazła? – dopytywała się Wańdzia.

– Pod Ostrą Bramą! – oświadczyłam tryumfalnie.

– A-a-a! – Po tym pełnym szacunku okrzyku zaległa cisza. Sierotka, biedne dziecko znalezione w tak świętym miejscu, stało się nagle jakby wysłanikiem nieba, małym aniołkiem co sfrunął z obłoków, żeby wypróbować serca ludzkie.

Pierwsze ocknęły się dwie lnianowłose Litwinki – bliźniaczki Albina i Aldona, zawsze praktyczne i stateczne.

– Patrzajcie, dziewczynki, to on musi kłodny, trzeba mu jaka bułka dać albo co – i rzuciły się do swoich, zawsze dobrze zaopatrzonych w śniadanie, teczek.

To stało się hasłem dla całej klasy. Wszyscy, cała trzydziestka jak jeden mąż, zaczęła wyciągać swoje paczuszki ze śniadaniem. Stasiuka usadowiono w ławce, na której po chwili, piętrzyły się stosy kanapek, jabłek, czekolad i cukierków.

Nawet Leon, który nie nosił śniadania i tylko na wielkiej pauzie kupował

coś w pobliskim sklepiku, wyciągnął z kieszeni kilka miętowych pastylek. Służyły mu do przytłumienia zapachu papierosów, palonych po kryjomu. Malec jadł początkowo łączywie aż mu się uszy trzęsły, pochłaniając wszystko naraz. Gryzł na zmianę bułkę z kiełbasą, czekoladę, jabłka, znów wracał do kanapek, ładując jednocześnie do buzi cukierki.

– Przecież on się rozchoruje – niepokoił się „książę”.

– Taka mieszanina naraz i to na sucho...

– My mamy gorące kakao w butelce – znów ofiarowały się pocziwe Litwinki. Więc Stasiuk zachłystując się i przymykając oczy z rozkoszy, pił „kakao”, znów zagryzając kiełbasą i cukierkami. W końcu jednak zaczął zwalniać tempo, bo nawet żołądek wielkoluda nie zdołałby pomieścić tego co naznosiliśmy.

– Co z nim dalej zrobimy? – niepokoila się Wańdzia.

– Będziemy się nim opiekować! – krzyknęła radośnie Zula – będzie dzieckiem naszej klasy, prawda, Haniu?

– Tak, ja będę jego mamusią – ucieszyła się z nowego pomysłu – Stasiuk, chcesz żebym była twoją mamusią? Objedzony jak bąk malec roześmiał się radośnie i skinął główką.

– Więc pamiętaj, ja jestem twoją mamusią i tak masz mnie nazywać. A to ciocia Wańdzia, ciocia Zula, ciocie Albina i Aldona, ciocia Ola, wujek Witek wujek Leon... – wyliczałam po kolei wszystkich zebranych. Malec oszołomiony odnalezieniem tak licznej rodziny wodził po klasie zdumionymi oczyskami.

– Trzeba go przede wszystkim umyć, przebrać i uczesać – oświadczyła Romka – jest skandalicznie brudny.

– Umyć, przebrać i uczesać – przedrzeźniał Wojtek – ale jak, ale gdzie, ale kiedy? Zaraz przyjdzie Sawicki na klasówkę i co zrobimy z dzieckiem?

Jakby na potwierdzenie tych słów, zadzwonił dzwonek. Wszystkich ogarnęła panika. – Hanko, trzeba schować dzieciaka, nie ma chwili do

stracenia!

– Schowam go pod ławkę!

– Oczywiście! To jest pakunek, który będzie leżał jak go położyłaś – ironizował Tomek.

– Będzie leżał! Stasiuk jest mądrym chłopaczkiem. Słuchaj Stasiuk – denerwowałam się, bo czasu faktycznie było już niewiele – mamusia schowa cię pod ławkę i musisz leżeć bardzo cichutko, nie ruszać się, nie rozmawiać...

– Tak jak w chowanego? – cieszył się malec.

– Tak, zupełnie tak samo. Bo widzisz, zaraz przyjdzie tu jeden pan – jeżeli cię znajdzie będzie bardzo zły, będzie krzyczał...

– Będzie bić? – buzia dziecka ułożyła się w żalną podkówkę. Poczułam znów ukłucie w sercu. Nie, nie wolno straszyć chłopca, jest już wystarczająco nieszczęśliwy. Zresztą profesor Sawicki też nie zasłużył sobie na to, żeby mu aż tak dalece psuć opinię i stawiać w jednym rzędzie z jakąś ciotką Helką!

– Bić cię nie będzie – oświadczyłam stanowczo – ale... ale... postawi ci dwóję!

– Postawi dwóję? – malec zamyślił się na chwilę i zaraz dodał z powagą:

– a ciotka Helka postawiła mi raz bańki. To bolało. Czy jak ten pan postawi dwóję będzie bolało tak samo?

– Gorzej, o wiele gorzej! – zapewniłam skwapliwie – dlatego musisz leżeć bardzo cichutko, żeby cię nie znalazł.

– Będę leżał cichutko – zgodził się.

– Uwaga, Sawicki na horyzoncie! – krzyknęła stojąca na czatach Basia Szwarzenberg.

– Prędko, prędko, Stasiuk! – rzucili się wszyscy do dziecka.

– Z tego będzie wielka chryja, zobaczycie – prorokował Leon.

Chłopiec posapując wlaź pod moją ławkę, ale natychmiast wystawił spod

niej kędzierzawą głowinę: – ja chcę siusiu – oznajmił. Chłopcy zaczęli ryczeć.

– Masz ci los! Jeszcze tego brakowało – irytowałam się. Witek błaznował: – niestety, kawalerze, uczennice VII klasy na ogół nie noszą ze sobą nocniczków, musisz się obejść smakiem.

– Stasiuczku, najmilszy – błagałam – teraz nie można! Musisz wytrzymać aż znów zadzwoni dzwonek i ten pan pójdzie sobie. Wytrzymasz, prawda? Jesteś dobry chłopiec! Wetknęłam mu w rękę kawał czekolady.

– Wytrzymam! – westchnął z rezygnacją i znów schował się pod ławkę. Najwyższy czas, bo już do klasy wkraczał profesor Sawicki.

Wstaliśmy na powitanie i rozpoczęli modlitwę, odmawianą zawsze przed pierwszą lekcją. W chwili gdy recytowaliśmy chórem „w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego” – spod ławki wybiegło cieniutkie lecz wyraźne „amen”.

Ktoś parsknął śmiechem, tu i tam odezwały się stłumione chichoty.

Profesor Sawicki spojrzał na nas z niesmakiem: – dorosła młodzież, za rok będzie dojrzała, a nawet w czasie modlitwy nie potrafi zachować powagi! Rozdał zeszyty, wypisał na tablicy zadania dla każdego rzędu. Za chwilę słychać było tylko skrzypienie piór, szelest przewracanych kartek, czasem jakiś szept, stłumiony w zarodku surowym spojrzeniem profesora. Udawałam, że namyślałam się, marszczyłam czoło, poruszałam ustami, wpatrywałam się w zadanie, a w rzeczywistości czekałam na ściągę od Zuli, która siedziała w tym samym rzędzie co ja. Obok mnie Wańdzia gryzła obsadkę i pociła się nad swoim zadaniem. Profesor Sawicki przeszedł się parę razy po klasie, zatrzymał się na chwilę przy oknie, potem usiadł, wyciągnął z teczki gazetę i zagłębił się w czytaniu. Spod mojej ławki od czasu do czasu dochodziły lekkie szmery, posapywania, mlaskanie. Wtedy zaczynałam szurać nogami albo dostawałam gwałtownych ataków kaszlu. Profesor przerywał czytanie, podnosił głowę i niezadowolonym, uważnym spojrzeniem lustrował ławki, zatrzymując w końcu wzrok na mnie.

W pewnej chwili usłyszałam jak siedzący za mną Witek poruszył się i schylił pod ławkę.

– Pewnie Zula rzuciła ściągę, a on podnosi – pomyślałam z ulgą, bo brak oczekiwanej „przesyłki” zaczynał mnie już niepokoić. Jeszcze bardziej jednak zaniepokoił mnie nagły zduszony śmiech Witka. Zaszeptał mi w plecy: – Hanko, pod twoją ławką olbrzymia kałuża. Czy to tobie coś przydarzyło się ze strachu?

– Dowcipny! – odburknęłam z pogardą. Lecz w tej samej chwili usłyszałam cichutki, żalostny płacz, który stopniowo stawał się coraz głośniejszy. Zamarłam z przerażenia. Sawicki wstał z miejsca i wyruszył na inspekcję po klasie.

– Najpierw nie uczą się, a potem na klasówkach płacze urządzają – powiedział surowo i nagle zatrzymał się przy mojej ławce z wyrazem najwyższego zdumienia na twarzy. Bo płacz wyraźnie czołgał się po podłodze, przy samych butach profesora.

– Kto to płacze? Proszę wstać! – krzyknął, widocznie nie wierząc własnym uszom, przekonany, że uległ jakiemuś złudzeniu. Spod ławki ukazała się szopa jasnych loków i straszliwie umazana czekoladą buzia, w której świeciły tylko zalane łzami oczy.

– Mamusiu, zrobiłem siusiu! – ryczał malec, wyłaząc na czworakach spod ławki.

Co działo się w klasie, tego się nie da opisać. Już nigdy później nie słyszałam wybuchu takiego niesamowitego wprost śmiechu. Ryczeli jak obłąkani i to wszyscy bez wyjątku. Nawet poważny Leon trzymał się za brzuch, nawet zrównoważony, dobrze wychowany „książe” trząsł się cały, zasłaniając twarz elegancką chusteczką. Zawsze sztywna Ola i patrząca na nasze figle z pogardliwą wyższością „dorosła” Roma, płakały ze śmiechu. Witek formalnie dostawał konwulsji, a cieniutki chichot Wańdzi i Zuli przeszedł w jakiś pisk. Patrząc na nich i ja, pomimo grozy sytuacji, nie

mogłam się powstrzymać, zwłaszcza, że zawsze byłam śmieszka i złośliwi twierdzili, że wystarczyło mi palec pokazać, a już mogłam śmiać się godzinami.

Stasiuk, w pierwszej chwili przerażony popełnionym przestępstwem, znalezieniem się przed obliczem groźnego pana, co może „postawić dwóję” i naszym niesamowitym wyciem, rozbeczał się jeszcze głośniejsze, ale nagle urwał, spojrzał na nas i też roześmiał się srebrzyście, radośnie, odrzucając w tył kędzierzawą główkę.

Tylko jeden profesor Sawicki się nie śmiał. Dobry ten i opanowany człowiek wyrazem twarzy dawał nam do zrozumienia, że miarka jego cierpliwości została przebrana.

Gdy fala śmiechu zaczęła trochę opadać, profesor powiódł po klasie wzrokiem, który nie wróżył nic dobrego.

– Tego już za dużo! To przechodzi wszelkie pojęcie! Ja pójdę do dyrektora z tą sprawą, ja wyciągnę odpowiednie konsekwencje! Czyje to dziecko? Proszę mi w tej chwili powiedzieć, czyje to dziecko?!

Trudno, stało się! Nie może cała klasa cierpieć z mego powodu. Wstałam odważnie: – moje! – oświadczyłam.

– Co-o?! – profesor zamienił się w znak zapytania, ale zaraz otrząsnął się i krzyknął poirytowany:

– dość tych głupich żartów! Proszę nie robić kpin! Pytam poważnie: czyje to dziecko? Skąd się tu wzięło?

– Ja wcale nie żartuję i nie kpię, panie profesorze. To naprawdę moje, bo znalazłam je pod Ostrą Bramą. To jest Stasiuk, sierotka. Nie miałam czasu zaprowadzić go do mojej mamusi, wzięłam więc ze sobą do szkoły. Trzeba go było nakarmić, zaopiekować się nim, bo on bardzo biedny i głodny. Ciotka, taka nieprawdziwa, bije go... I... i... panie profesorze, ja, tylko ja sama jestem winna. Ale nie chciałam panu profesorowi dokuczyć, tylko schować go, to znaczy Stasiuka, nie pana profesora... Zaplątałam się zupeł-

nie i zamilkłam. Oczy Sawickiego złagodniały. Powiedział już spokojnie: – nie wolno tu rządzić się według swego widzimisię, to jest szkoła i należy o tym pamiętać. Trzeba było się zwrócić do pani Zofii, ona by coś poradziła. Na razie proszę zaprowadzić dziecko do mieszkania woźnej. Już tam poczciwa pani Janasowa zaopiekuje się nim trochę lepiej niż wy. Potem pomyślimy co dalej robić.

Kochany profesorek! Wybaczyłam mu wszystkie moje, zasłużone zresztą, dwóje. Nie tylko nie wyciągnął żadnych konsekwencji, ale zainteresował naszym pupilem całą Radę Pedagogiczną.

Stasiuk wykąpany, przebrany, uczesany pozostawał jakiś czas pod opieką woźnej, dopóki sam dyrektor nie przeprowadził wywiadu co do osoby „ciotki Helki” i nie załatwił formalności związanych z odebraniem jej dziecka. Chłopiec został ulokowany w Landwarowie koło Wilna u bezdzietnych krewnych pani Zofii, która bardzo gorąco wzięła sobie do serca sprawę nieszczęśliwego dziecka. Stale po odwiedzinach u krewnych przywoziła nam pozdrowienia od Stasiuka i wiadomości o nim. Chował się dobrze, a swoim przybranym rodzicom sprawiał dużo pociechy. Cieszyliśmy się wszyscy, że nasz mały pupil trafił w dobre ręce, a ja nawet przestałam się złościć na Witka, który jeszcze dłuższy czas wołał za mną: – mamusiu, zrobiłem siusiu!



Rozdział IV

Wielki sukces

Przygodę z małym Stasiukiem opisałam w rzewnym poemacie pod tytułem „Sierota”, nad którym wszystkie koleżanki roniły łzy. W ogóle moja sława „klasowej poetki” rosła z każdym dniem. Otrzymywałam zamówienia już nie tylko na wypracowania, ale również na różne listy i okolicznościowe wiersze. Prawa autorskie oczywiście wielkodusznie przelewałam na osobę zamawiającą.

Jedną z najciekawszych moich klientek była Romka. Już nie mówiąc o tym, że absolutnie nie umiała pisać wypracowań i za każdym razem zwracała się do mnie o ratunek, Romka jeszcze stale w kimś kochała się i z przedmiotem swoich westchnień prowadziła ożywioną korespondencję. Właściwie ja za nią musiałam prowadzić.

– Wiesz, Hanuś, żeby było mądrze i ładnie, żeby mu zaimponowało, a jednocześnie pogłaskało go!

Pisałam więc prosząc: – tylko mów mi jak on aktualnie nazywa się. Żądanie w pełni uzasadnione, bo raz „on” był uczniem jakiejś innej szkoły i nazywał się Józio, drugi raz studentem co miał na imię Ryś, kiedy indziej aktorem i wtedy musiałam zwracać się do niego per „drogi Mistrzu”. Potem Romka zażądała wierszy, a ponieważ w owym czasie tematyka miłosna ani rusz mi nie wychodziła, pisałam raczej o księżycu, słowikach i marzeniach. Romka czytając trochę kręciła głową: – ładnie, bardzo to ładnie napisałaś, tylko wiesz – za mało miłości! Spróbuj wlać trochę namiętności, żaru... Próbowałam – cóż, kiedy nie wychodziło, bo trudno jest ślepemu pisać o kolorach.

– Jak się nie podoba, możesz nie brać, ja ciebie nie zmuszam – złościłam się. Romka jednak chwytiała skwapliwie kartki. – Dawaj, Hanuś, jak jest

– trudno!

– Jeszcze małpa nosem kręci! – oburzałam się, bo ostatecznie pisałam dla Romki zupełnie bezinteresownie.

Inni rewanzowali mi się wykonując za mnie domowe zadania z matematyki, podrzucając ściągę na klasówkach i podpowiadając, gdy byłam przy tablicy. Niestety – Romka, która „zimowała” w każdej klasie, sama nigdy nic nie umiała, więc na jej pomoc nie mogłam liczyć.

Wkrótce moja poetycka sława osiągnęła szczyt i zajaśniała na całe nasze gimnazjum. Stało się to zupełnie niespodziewanie.

W każdą sobotę schodziliśmy się po południu w sali szkolnej na potańcówki. Te, tak zwane sobótki, odbywały się w ściśle zamkniętym gronie. Trzy ostatnie klasy – VI, VII i VIII, poza tym nikogo – żadnych zaproszonych gości. Któraś z nas siadała do fortepianu i grała do tańca, reszta kręciła się do godziny dziewiętej najpóźniej. Dziewczynki przeważnie tańczyły ze sobą, bo chłopcy woleli podpierać ścianę i przyglądać się nam z ironiczną wyższością. Czasem któryś nie wytrzymał nerwowo, z trudem oderwał się od ściany i niezgrabnym ukłonem zaprosił koleżankę. Bywało też, że jedna z nas podbiegła do takiego zblazowanego małpiszona i wyciągając rękę do niego wołała: – chodź, zatańczymy, bo zupełnie mchem porośniesz! Chłop aż się rumienił z radości, ale starał się ukryć swoje zadowolenie i udawał, że jedynie przez grzeczność przyjął zaproszenie.

Dzisiejsza młodzież jest bardziej zblazowana, czy wymagająca – nie wiem. Musi być „fajna orkiestra”, „morowe towarzystwo”, a na zabawach poza murami szkolnymi – wódka. Nam, jeżeli chodzi o orkiestrę, wystarczył nie tylko fortepian. Raz, gdy był zamknięty i nie mogliśmy znaleźć klucza, kilku chłopaków przygrywało nam na grzebieniach i też tańczyło się pierwszorzędnie. Pamiętam, (byłam już wtedy mężatką) w pewnym towarzystwie zachciało nam się poskakać, a nie było żadnej muzyki. Poradziliśmy sobie jakoś: tańce odbyły się przy rozklekotanej staroświeckiej

pozytywce, która grała w kółko „jeszcze jeden mazur dzisiaj”. Bawiliśmy się przy tym wspaniale.

A dzisiejsza młodzież krzywi się nawet na radio i adapter. Musi mieć co najmniej oryginalnego Kazaneckiego albo Haralda na sali. Na innych zabawach, nie szkolnych, dzieje się jeszcze gorzej. Tam dopiero wtedy bawią się na „sto dwa”, jeżeli przy okazji pięknie parę litrów wódki, a może i nie jedna głowa. Na drugi dzień zblazowany młodzieniec, który całą noc jechał do rygi i w gruncie rzeczy czuł się fatalnie, opowiada koledze: – powiadam ci, zabawa była w dechę! Zalałem się w pestkę i pobitem z Ryśkiem. Przypomina mi się rosyjska anegdota o chłopku, który z zachwytem opowiadał o udanym weselu: – oczeń wiesieło było – tri zuba wybili i adnawo rebionka za kamodem zaduszili! oczeń wiesieło!

Dużo dziś mówi się i pisze o sprawach młodzieży. Ścierają się różne zdania i poglądy. Słyszcy się dużo narzekań. Ale uderzmy się w piersi. Jeżeli dzisiejsza młodzież jest wyjątkowo trudna, czy nie jest to w dużym stopniu nasza wina? Wina zbyt słabych rodziców, którzy dla „świętego spokoju” patrzą na wiele rzeczy przez palce. Wina wychowawców, którzy nie zawsze potrafią znaleźć odpowiednie podejście. Wina całego społeczeństwa, że nie umie dać dobrego przykładu. Młodzież widzi jak starsi piją, kłamią, oszukują, ba – nawet kradną i popełniają różne większe lub mniejsze świństewka. Stąd brak szacunku dla starszych, brak wszelkich autorytetów i hamulców moralnych. Do tego dążenie za modą, duchem czasu, ale tym najgorszym, brzydko pachnącym, stało się wprost nałogiem. Modnym jest upijanie się, więc będziemy się upijać, choć wódka nam nie smakuje. Modną jest daleko posunięta zabawa w miłość, więc będziemy się zabawiali, choć nie mamy na to specjalnej ochoty. Na wszystkie życiowe sprawy, nawet na miłość, patrzy się jakoś zbyt trzeźwo i praktycznie i... co tu owijać w bawełnę – bardzo trywialnie. Oczywiście dużo w tym jest pozy i udanego cynizmu, pod którym można się doskrobać nieraz sporej wrażli-

wości i szlachetności.

Dawniej młodzież też miała swoje kaprysy, fomy, wybryki i fantazje, miała wady i zalety, ale nie miała takich licznych i dziwnych kompleksów, jak dziś. Kompleks roweru, kompleks motoru, kompleks nocnych zabaw, kompleks nylonowych pończoch i trwałej ondulacji. Czy to przypadkiem nie my sami hodujemy te kompleksy w naszych dzieciach, a czasem im nawet wmawiamy? A później uderzamy na alarm i lamentujemy, że dzieci są złe i nie możemy sobie z nimi dać rady.

Otóż wracając do naszych sobótek, zaczęliśmy je urozmaicać: ktoś coś zadeklamował, ktoś zaśpiewał, ktoś zatańczył solo. Początkowo było to raczej „wygłupianie się”, parodiowanie, aż wreszcie wpadliśmy na pomysł. Na zakończenie pierwszego półrocza urządzimy sobótkę na większą skalę. Zaprosimy nasze „ciało pedagogiczne”, rodziców i zrobimy popis. Jakies przedstawienie. Potem występy poszczególnych uczennic i uczniów. Podzieliliśmy się naszym projektem z wychowawczynią. Pani Zofia przyjęła go z aprobatą i przyrzekła swoją pomoc. Do zorganizowania wieczorka wybrano Jadzię Andrukiewiczównę, żywą, energiczną osobkę.

Zaczęły się burzliwe narady, układanie programu, podział funkcji i ról. Postanowiliśmy odegrać jednoaktówkę „Markiza z porcelany”. Ja miałam kreować rolę tytułową, a zakochanego we mnie młodzieńca, przemienionego o północy w porcelanowego markiza – Jurek Czartoryski. Bo któż jak nie delikatny, subtelny i śliczny jak obrazek „księżę” nadawał się lepiej do tej roli? Z przedstawieniem więc załatwiliśmy się dość szybko. Natomiast dużo dyskusji wywołała druga część programu – poszczególne występy. Romka, rozżalona, że nie otrzymała roli porcelanowej markizy, piekliła się, że muszą jej coś dać przynajmniej w drugiej części programu. Chłopcy natomiast próbowali w ogóle wykręcić się od wszelkich popisów. Albina i Aldona zameczyły wszystkich po kolei, że chcą deklamować Mickiewicza, ale Jadzia sprzeciwiała się stanowczo. – Zrozumcie, ja was strasznie

kocham, ale jak wy zaciągniecie tak prawdziwie „po wileńsku”, to z Mickiewicza wyjdzie parodia – tłumaczyła im.

– Ale mogą z powodzeniem zaśpiewać „nie kodź do lasu szczypać bzu i nie wierz kłopcju jako psu”, to im wyjdzie doskonale – dokuczał Witek.

– To jest myśl! – krzyknęłam, bo żal mi się zrobiło zmartwionych Litwinów. – Albina i Aldona mają przyjemne głosiki, mogą zaśpiewać parę litewskich piosenek.

– Zrobimy „dujet” – ucieszyła się Aldona, znamy dużo ładnych litewskich piosenek. Na tym więc stanęło. Romka również została ułagodzona – miała zapowiadać poszczególne numery i na myśl, że będzie miała okazję kręcić się ciągle po scenie, zupełnie odzyskała humor. Reszta programu nie narządzała trudności: chór rozpocznie kilkoma pieśniami, potem deklamować będą Wańdzia i Jędrzek Wilczewski, Zula wykona parę piosenek tatarskich i polskich, Lilka Rutkowska i Tomek Poraj zatańczą krakowiaka.

– A na zakończenie będzie wielka niespodzianka dla wszystkich obecnych na sali – oświadczyła Jadzia tryumfująco – Hanka będzie recytowała własne wiersze!

– Zwariowałaś! – krzyknęłam – ani mi się śni!

Podniósł się niesamowity wrzask: – tak, tak! Nie ma dyskusji, to postanowione!

– Jadziu! Jadziuniu! – błagałam – wszystko zrobię co każesz, mogę ostatecznie deklamować, ale tylko nie swoje wiersze! Przecież mnie wygwizdzą, obrzucą śmierzdzącymi jajami, wyśmieją! Dlaczego chcesz mnie na to narazić? Taka z ciebie koleżanka?

Jadzia była nieubłagana: – nie wygłupiaj się, Hanko, zresztą w ogóle nie masz głosu – cała klasa tak postanowiła, więc nie ma odwołania.

– Będzie z tego wielki skandal, zobaczycie – jęczałam.

– Zrobi w majtki ze strachu i ucieknie ze sceny – nie wytrzymał złośliwy Witek żeby mnie nie dokuczyć. Tego już było zanadto! Co ten głupi

smarkacz sobie wyobraża? – Właśnie, że na złość tobie będę deklamowała i wcale się nie boję – oświadczyłam wyniośle.

Cała klasa wrzasnęła – hura! Niech żyje Hanka! – i kości zostały rzucone.

– Tylko pamiętajcie, to jest tajemnica naszej klasy, nikt nie może dowiedzieć się wcześniej – przestrzegła Jadzia.

W dniu przedstawienia, odrazu po lekcjach, rozpoczęły się gorączkowe przygotowania: urządzenie sceny, mierzenie wypożyczonych w teatrze kostiumów. Śliczna różowa krynolina leżała na mnie jak ulał, tylko z białą peruką miałam początkowo kłopot. Wszystkie teatralne były za małe na moje warkocze, które przecież należało schować. Zdecydowałam się już zrezygnować z peruki, upiąć w odpowiednią fryzurę włosy i upudrować mąką, ale Muśka sprzeciwiła się temu. – Mąka będzie się z ciebie sypać przy każdym poruszeniu, a w dodatku później, przy myciu, skleją ci się włosy w kołtun.

Co robić? Nie mogę przecież grać markizy z brązowymi włosami! Byliśmy już w rozpacz. Sytuację uratowała Basia Szwarzenberg, która miała kuzyna fryzjera. Dotąd go męczyła, aż zakrzętnął się gdzieś i wynalazł dużą białą perukę ze wspaniałymi lokami. Witek wprawdzie twierdził, że fryzjer musiał oskalpować jakąś siwą staruszkę, albo wyrwał ogon białemu koniowi, ale nie zwracaliśmy uwagi na jego dowcipki.

Wieczorem sala wypełniła się, jak to się mówi, „po brzegi”. Wszystkie klasy, poczynając od IV i „ciało pedagogiczne” w komplecie. Przyszło też dużo rodziców i krewnych, zwłaszcza rodziny „artystów” nie zawiodły i stawiły się robić klakę.

Za kulisami Jadzia, nasza dyrektorka od imprezy, dwoiła się i troiła, wydając ostatnie rozporządzenia.

– Witek, stój tu i uważaj – będziesz „robił głosy”. Pamiętaj, jak dam znak – dwanaście uderzeń zegara. Przy drugim znaku – pianie koguta. Olu! Masz egzemplarz „markizy”? Stań za kotarą, będziesz sufłować. Tomek i Witek,

uważajcie: po biciu zegara zgasić światło na scenie i piorunem zedrzeć z Jurka płaszcz i włożyć mu na głowę perukę. Tylko nie marudzić – przemiana podróżnego w markiza musi nastąpić w błyskawicznym tempie. Potem zapalić znowu światło. Hanko! Jurek! Jesteście gotowi? Hanka, stawaj już pod zegarem. Jurek na plan! Reszta niech się odsunie! Nie wyglądać z za kotary, żeby was nie było widać! Witek, gong! Zaczynamy! Zapalić kolorowe światła na scenie! Unosząc długą krynolinę gramolę się na podwyższenie pod dużym staroświeckim zegarem, zrobionym przez nas z tektury i pięknie pomalowanym. Staram się przybrać najwdzięczniejszą pozę. Wańdzia kiwa do mnie z kulis: – masz tremę? – przed „markizą” – nie! – odpowiadam stanowczo. – Trema będzie dopiero przed recytacją. Już teraz gdy o tym pomyślę, ściska mnie w dołku.

– Spokój! – krzyczy Jadzia – nie rozmawiać! Kurtyna!

Kurtyna wolno się rozsuwa. Staram się nie patrzeć na salę, pełną głów i wlepionych w scenę oczu. Staram się nie ruszać (dla „wiercipięty” to nie lada wyczyn), nie mrugać, nawet nie oddychać. Jak porcelana, to porcelana! Wchodzi Jurek w podróżnym płaszczu, szczelnie ukrywającym wytworny strój markiza pod spodem. Rozpoczyna monolog: o podróży, o zwiedzaniu zamku, o swojej gwałtownej miłości do porcelanowej figurynki. Wyciąga do mnie ręce, wywraca oczy, grucha czule jak gołąbek. Chce mi się śmiać, ale powstrzymuję się. Niedługo jednak. Fatum chce, że Jurek opisując wdzięki porcelanowej markizy przejęzycza się: – ma taką cudną błękitną cerę i różowe oczy! – mówi z zachwytem. Na sali słychać chichoty. Trzęsę się cała od powstrzymywanego śmiechu, aż postument wraz z zegarem zaczyna niepokojąco się chwiać. Jurek, który nie zauważył swej pomyłki, patrzy na mnie ze zdziwieniem i wyrzutem. Na szczęście bije dwunasta. Witek za kulisami zawzięcie wali młotkiem w patelnię. Ci, co liczyli uderzenia, mówili później, że było ich czternaście, bo Witek wpadł w trans i nie mógł się zatrzymać. Z pierwszym uderzeniem zegara

wolno mi było „ożyć”, poruszając się i zejść z podwyższenia, co uczyniłam z wielką ulgą i zadowoleniem. Wypowiadam jakieś zawile i piękne zaklęcie, po którym na scenie gaśnie światło. Słysząc szamotanie się, sapanie jakby ktoś w ciemnościach walczył z bandytami, potem światło zapala się znowu. Przede mną stoi wytworny markiz z trochę wygniecionym żabotem i w nałożonej na bakier białej peruce z warkoczykiem. Markiz kłania się, odpowiadam głębokim reweransem, fortepian za kulisami zaczyna cichutko grać menueta, podaję rękę markizowi i w pięknych ukłonach okrążamy scenę.

– Popraw sobie perukę – szepczę – bo ci zaraz zupełnie zjedzie na ucho.

Trochę speszony Jurek wytwornym gestem wyprostowuje perukę. Po menuecie – dialog: wyznajemy sobie miłość, ale słysząc pianie koguta (Witek pieje po mistrzowsku, zupełnie jak prawdziwy kogut!), muszę wracać pod zegar. Markiz klęka i błaga, żebym pozostała, ale czary działają. Wracam na postument, przybierając poprzednią pozę. Zrozpaczony markiz rzuca się za mną, wskakuje na postument i zamiera również, przemieniony w porcelanową figurynkę. Zegar znowu chwieje się gwałtownie i w chwili, gdy kurtyna wolno się zasuwą, leci nam na głowę przy akompaniamencie szalonego śmiechu i oklasków widowni.

– Ślicznie poszło! – mówi do nas Jadzia – tylko ten zegar mógł się przewrócić o moment później.

– Bo Hanka cały czas śmiała się i kręciła – mówi z pretensją Jurek.

– Bo powiedziałaś, że mam błękitną cerę i różowe oczy, a potem perukę miałeś nałożoną na bakier.

– Prędko, prędko! – krzyczy Jadzia – chłopcy uprzętać scenę, wyciągnąć fortepian! Hanko, przebieraj się do recytacji. Zaraz zaczynamy drugą część programu.

Jezus Maria! Zupełnie zapomniałam, że czeka mnie najgorsze. Mam recytować własne wiersze przed tą przepełnioną salą! Nie, Nie! Za żadne

skarby! Trzeba uciekać, zaraz uciekać! Zrzucam prędko perukę i krynolinę. Wkładam mundurek, przeczesuję warkocze, rozglądam się naokoło.

Chór już ustawia się na scenie, reszta stłoczyła się w kulisach. Nikt w tej chwili nie zwraca na mnie uwagi. Mogę wymknąć się niedostrzeżona bocznymi drzwiami. Ostrożnie zaczynam się skradać w tym kierunku. Ale, niestety, nic z tego! Był ktoś, kto dostrzegł mój manewr. Bystre, skośne ślepki Zuli, wysłedziły mnie. Już jest przy drzwiach, zagrządzając mi drogę.

– Hanko – mówi surowo – co ty sobie myślisz? Nigdzie cię nie puszcze, zaraz twój występ!

– Zulejko! Królowno tatarska! Dżingischanówna najmiłsza! Najpiękniejsza Czarna różo z ogrodów proroka! – błagam – puść mnie! Powiedz im, że mi się słabo zrobiło, że zachorowałam, że mnie brzuch rozboleł, powiedz co chcesz!

Ale Zula jest niewzruszona. Nie pomógł Dżingis-Chan, nie pomógł Prorok. Z miną policjanta, prowadzącego do aresztu pijaka, ciągnie mnie i ustawia w kulisach.

– Pilnujcie ją gdy będę na scenie – mówi do całego zgromadzenia – ona chce zwiać!

Okrzyk zgrozy i jestem już tak otoczona, że nie ma mowy o ucieczce. Nie wiedziałam co się dzieje na scenie. Ktoś śpiewał, ktoś deklamował, na sali klaskano. Obok mnie ze śmiechem przebiegli Lilka i Tomek w krakowskich strojach, Wańdzia coś do mnie mówiła, czy o coś pytała. Mignęła zaniepokojona buzia Jadzi. Ktoś powiedział: – może jej dać waleriany? Wiem tylko, że serce mi się tłukło jak oszalałe, że czułam ściskanie w dołku i lekkie mdłości, że nogi miałam jak z galarety.

– Hanko, opamiętaj się! – krzyczała mi w ucho Jadzia – co się z tobą dzieje? Taka byłaś spokojna i odważna w „markizie”, a teraz wyglądasz jakbyś miała zamiar zemdleć. Uśmiechnęłam się męczeńsko: – Jadziu, ja się strasznie boję, zrozum – to są moje, moje własne wiersze...

– Rozumiem ciebie, ale zobaczysz, że dobrze pójdzie, spodobają się wszystkim, mogę ci dać słowo honoru.

Koło nas przebiegła wysztafirowana, wyfryzowana Romka.

– Haniu, uważaj, idę cię zapowiedzieć.

Jęknęłam i przeżegnałam się. Na scenie Roma wdzięcząc się i uśmiechając czarująco do widowni, oznajmiła głośno, o wiele za głośno: – a teraz wiersze uczennicy klasy siódmej, Hanny Boskiej, recytuje autorka. Chwila zdumionej ciszy na sali i huk oklasków.

– Widzisz, widzisz – szeptała Jadzia – już klaszczą, co dopiero potem...

– Potem będą gwizdać – wykrztusiłam dzwoniąc zębami.

– Wychodź, wychodź – zaszepitano ze wszystkich stron.

– Nie wyjdę – próbowałam jeszcze się bronić, ale ktoś popchnął mnie i na trzęsących się galaretowatych nogach wytoczyłam się na scenę. Trochę błędnym wzrokiem spjrzałam na widownię. Zobaczyłam w pierwszych rzędach dyrektora, panią Zofię, wszystkich profesorów, a zaraz za nimi rodziców i dużo, dużo znajomych twarzy. Wszystkie miały wyraz życzliwy. Profesor Karasiński uśmiechał się i składał ręce jak do oklasków, Muśka zachęcająco kiwnęła mi głową, Tacik też dawał jakieś znaki. Trema powoli ustępowała. Raz kozie śmierć! – pomyślałam z rezygnacją, wlepiłam oczy w przeciwległą ścianę i zaczęłam:

Kiedy cud mnie uczyni poetą,
a wiersz mój dojrzałym owocem,
wyrwę pióro z ogona komety,
otrząsnę atrament nocy
i na liściach wiosennych kasztanów,
i na liściach jesiennych klonów
pisać będę od rana do rana
krwią spod serca – najbardziej czerwoną!
Kiedy cud mnie uczyni poetą,
to rozpocznę podniebne wyjazdy
zaprzężoną w wiersze kareta
na najdalszą od ziemi gwiazdę.

A gdy skrzydła mi zaczną wyrastać
i rozwijać się lekko na wietrze,
będę w chmurach wznosić toasty
musującym szampanem powietrza.
A gdy cud ten nie będzie mi dany,
iskry wiersza nie zechcą płonąć –
pozostaną mi wiosną kasztany,
pozostaną jesienią klony.
Wbrew wszystkiemu będę, gdzieś błędząc,
obca ludziom, od ziemi daleka,
pić słońce, jak miód gorący,
pić księżyc jak zimne mleko!

Skończyłam, skłoniłam się i prawie uciekłam ze sceny. Leciały za mną zwariowane oklaski i krzyki „bis”. Za kulisami wpadłam w ramiona koleżanek.

– Hanko, ślicznie! Ale musisz bisować. Słyszysz jak klaszczą i krzyczą? Zresztą Roma zapowiedziała „wiersze”, a nie jeden wiersz. Musisz jeszcze coś powiedzieć.

– Zlitujcie się, dajcie mi już spokój!

– Jeszcze przynajmniej jeden! Jakiś malutki, malusieńki!

– Pomyśl – mówiła Wańdzia – jak zaimponujesz dziś profesorowi Sawickiemu. Niech widzi, że nie zawsze jesteś takie ciele jak na jego lekcjach.

Ten argument przeważył szalę.

– Dobrze, powiem jeszcze jeden, króciutki – zgodziłam się i po raz drugi znalazłam się na scenie. Byłam już spokojna. Uśmiechnęłam się nawet z wdzięcznością do tych życzliwych, klaszczących rąk i rozpoczęłam drugi wiersz:

Chcę wielbić świat i całą wielkość,
chcę pianą mgiełki nad ziemią ulatać,
chcę spadać rosą i przejrzystą kropelką
leżeć w kielichu wiosennego kwiatu.

Chcę żeby we mnie przejrzało się niebo,
chcę być ciepłem w zimie, a latem ochłodą,
chcę być ziarnem w kłosie, chcę być kromką chleba
w wyciągniętych rękach ludzi głodnych.
Chcę, wisząc chmurą na tęczowym moście,
w największą suszę poić deszczem ziemię,
chcę być jak serce pełne miłości
i chcę jak miłość chłonać cierpienie.

Po tym wierszu urządzono mi prawdziwą owację. Chłopcy na widowni aż zachrypli wrzeszcząc „bis”! Za kulisami ściskano mnie i całowano. Gdy oszołomiona powodzeniem znalazłam się na sali, otoczyli mnie profesorowie, składając gratulacje. Pani Zofia uściskała mnie, Karasiński pocałował w czoło. Dyrektor i inni profesorowie długo ściskali mi rękę, Butkiewicz, jak zwykle powtarzał przy tym: – serce, serce! zawsze to serce! Potem wszyscy podeszli z gratulacjami do moich rodziców. Muśka miała oczy pełne łez, a Tacik puszył się jak paw i powtarzał w kółko: – a co? Zuch moja dziewczynka, prawda? Będą z niej ludzie, będą!

Niestety, niestety tatusiu! Nie spełniły się nasze wspólne marzenia. Nic z tych „ludzi” nie wyszło.

Wszystko się tak pogmatwało, tak inaczej potoczyło się życie, a potem przeleciała nad światem straszliwa dziejowa burza, wykapała całą ziemię w potokach krwi. Jak liściem, oderwanym od drzewa, miotła mną w różne strony, połamala mi skrzydła i rzuciła jak niepotrzebny, bezużyteczny grat. Niczego nie dokonałam, niczym nie będę. Za późno. Nie będę kromką chleba dla ludzi, ani deszczową chmurą dla spragnionej, a tak bardzo kochanej ziemi. Nie będę ciepłem w zimie, ani ochłodą latem. Może jedynie sercem, chłonaącym cierpienie. Cudze i własne.



Rozdział V

Nieboszczyk na urlopie

W poniedziałek gdy wracałam po lekcjach do domu, dopędził mnie na ulicy Leon. Mina jak zwykle ponura, oczy wbite w ziemię.

– Wiesz, Hanko, chciałem ci coś powiedzieć. Coś ważnego...

– No to powiedz!

Byłam trochę zdziwiona, bo Leon trzymał się od wszystkich z daleka i nie „zadawał się” ze smarkateria, jak nas, a specjalnie mnie, przy każdej okazji tak nazywał.

– Hm... widzę, Haniu, że jesteś niegłupia dziewczynka. Te twoje wiersze... hm... wcale, wcale... Bardzo ładnie powiedziałaś o tym słońcu jak miód i o księżycu... I w tym drugim wierszu o sercu tak ładnie...

Pogłaskało mnie mocno uznanie Leona, ale zrobiłam obojętną minę.

– I to jest takie ważne co chciałeś mi powiedzieć?

– Nie... widzisz, pomyślałem, że ty jako poetka zrozumiesz... że jednym słowem mogę ci zwierzyć tajemnicę...

– Tajemnicę!? – aż zapłonęłam z ciekawości – ależ oczywiście, Leonku, słucham cię!

– Ale pamiętaj, to jest straszna tajemnica. Nikomu ani słowa! Przysięgnij na Ostrobramską.

– Nie mogę, Leonku – zasmuciłam się – mamusia raz na zawsze zabroniła mi wszelkich przysięg, zwłaszcza na rzeczy święte, ale mogę ci dać słowo honoru.

– No, trudno, niech będzie – westchnął z rezygnacją.

– Otóż widzisz – ja jestem roz-cza-ro-wa-ny!

– Jak to rozczarowany? Co ciebie rozczarowało? Moje wiersze czy w ogóle sobotni wieczorek?

Popatrzył na mnie z drwiącym politowaniem: – nie, naprawdę! zbyt mądra to ty nie jesteś! Wieczorek! Też ważna mi sprawa! Rozczarowało mnie ŻYCIE – rozumiesz – ŻYCIE! Świat, ludzie, wszystko!

– Ale dlaczego, Leonku, dlaczego? – nie mogłam wyjść ze zdumienia.

– Życie jest takie piękne, świat taki wspaniały, ludzie dobrzy!...

Zaśmiał się ironicznie: – w oczach egzaltowanej smarkuli!

Obraziłam się: - bardzo cię proszę, licz się ze słowami! Znalazł się starzec przemądrzały!

Trochę spuścił z tonu. – No, nie masz się czego obrażać. Jako poetka (znów mnie trochę pogłaskało) patrzysz na wszystko przez różowe okulary. A ja ci mówię, że życie to cuchnące bagno, świat jest idiotycznie urządzony, a ludzie podli. I dlatego postanowiłem z tym wszystkim skończyć.

– Jak to skończyć?

– Po prostu dziś w nocy popełnię samobójstwo.

– Jezus, Maria! – wrzasnęłam, aż przechodnie obejrzelili się na nas.

– Leonku, kochany, co ci do głowy strzeliło?!

– Nie drzyj się, bo ludzie oglądają się. I nie próbuj tylko mnie od tego odwozić – nic nie pomoże. Postanowienie zapadło. Pamiętaj też – dałaś słowo honoru – nikomu ani mru-mru!

– Leonku, – jęczałam – zastanów się, namyśl jeszcze!

– Już zastanowiłem się i nikt mnie nie przekona. Obmyśliłem całą rzecz w najdrobniejszych szczegółach. Wolałbym się zastrzelić – to bardziej po męsku – ale nie mam z czego. Za to zdobyłem bardzo silną truciznę. W nocy napiszę list pożegnalny – ot, na przykład, że nie widzę sensu żyć dalej, że gwizdnę na wszystko i odchodzę. Ubiorę się w najlepsze ubranie, położę się na łóżku i wypiję truciznę.

– O, Jezu, Jezu! – jęczałam, ale nagle nowa myśl zaświtała mi w głowie.

– Słuchaj, Leon, jeżeli to naprawdę nieodwołalne – może się jednak jeszcze rozmyślisz – albo skoro już postanowiłeś umrzeć, to przecież tobie już bę-

dzie wszystko jedno... Utknęłam.

– O co chodzi? – spojrzał na mnie podejrzliwie.

– Nic... pomyślałam sobie, że co by to szkodziło, gdybyś w liście pożegnalnym napisał, że umierasz ponieważ jesteś beznadziejnie zakochany... na przykład... we mnie... – wykrztusiłam nieśmiało. – Tobie już bez różnicy, a do mnie wszyscy nabraliby szacunku i przestałabym uchodzić za dziecko. Romka pękłaby z zazdrości. Leon stanął na chodniku jak wryty i nagle zaczął się śmiać – nie – ryczeć po prostu.

– Nie rozumiem co w tym śmiesznego – obraziłam się – ludzie na ogół częściej popełniają samobójstwa z miłości niż z jakiegoś tam rozczarowania. Motyw o wiele sensowniejszy.

– Ludzie, trzymajcie mnie! – wołał Leon – ta smarkata zupełnie zgłupiała! Ja miałbym się tak ośmieszyć po śmierci? Że to z miłości do niej! Do niej! Gdybym nawet napisał, że umieram z beznadziejnej miłości – to może byłoby naprawdę bardziej interesujące – wybrałbym najpiękniejszą, najbardziej interesującą i elegancką wilniankę. I najlepiej mężatkę. Wtedy od razu wiadomo dlaczego miłość była beznadziejna.

– A czy znasz taką? – zapytałam, zupełnie zgnębiona swoją dyskwalifikacją.

Machnął ręką lekceważąco. – To nieważne, mało ich chodzi po mieście, przecież nie muszę podawać nazwiska. Wystarczy napisać na przykład, że zły los nie pozwala mi połączyć się z cudną kobietą, która jest żoną innego. Że oboje nad tym cierpimy, więc postanowiłem usunąć się, żeby nie mącić jej spokoju.

Spojrzałam na Leona z szacunkiem. – To naprawdę będzie ładnie i z pewnością zrobi wrażenie. Myślę jednak, że mógłbyś w liście napisać coś o mnie też. Że byłam na przykład twoją wierną pocieszycielką, jedyną powiernicą, coś w tym rodzaju.

– O, nie, nie! O tobie ani słowa, nie wyglądałoby to poważnie. Śmieliby

się, że taką smarkulę wtajemniczałem w swoje wielkie przeżycia. Jesteś miłą dziewczuszką, możesz po mojej śmierci poświęcić mnie jakiś wierszyk, ale do głębokich spraw miłości i namiętności jeszcze absolutnie się nie nadajesz.

– No to daj się wypchać i na zielono pomalować! Nie potrzebuję twoich zwierzeń! Możesz łykać truciznę i pisać listy do nieistniejących mężatek. Nic mnie to nie obchodzi! Odwróciłam się i odeszłam.

Jednak całe popołudnie nie miałam spokoju. Czy nie za lekko potraktowałam samobójcze zamiary Leona? Czy należało w takiej chwili obrażać się i kłócić? A jeżeli naprawdę w nocy zażyje truciznę? Przecież nic nie zrobiłam żeby go ratować. Nawet nie wiem gdzie mieszka i nie mogę pójść do niego wyperswadować mu te nedorzecznosci, albo uprzedzić rodziców, żeby uważali na niego. Może poradzić się mamusi? A słowo honoru, którym jestem związana? Czy może być złamane w takich okolicznościach? I jeżeli tylko zakpił sobie ze mnie, a ja narobię niepotrzebnego alarmu?

– Plótl co ślina na język przyniosła, nic mu nie będzie – pocieszałam się, ale uczucie niepokoju i przygnębienia nie opuszczało mnie ani na chwilę.

W nocy źle spałam, męczyły mnie koszmary – Leon leżący w trumnie i szlochająca nad nim piękna mężatka w ciężkiej żałobie.

Na drugi dzień o mały włos nie spóźniłam się na pierwszą lekcję, którą była religia. Weszłam do klasy już po dzwonku, prawie jednocześnie z księdzem. Jeszcze w drzwiach rzuciłam okiem na ostatnią ławkę – miejsce Leona świeciło pustkami. A więc jednak stało się! Leon leży martwy na łóżku w swoim odświętnym ubraniu, a ja podła nadal cieszę się życiem, słońcem, ćwierkaniem wróbli za oknami! A przecież mogłam go uratować, złamać to nedorzeczne słowo honoru, uprzedzić rodziców. Albo przekonać go, przemawiać długo, cierpliwie, łagodnie, w razie potrzeby błagać, żeby tego nie robił. Nie, ja najpierw myślałam o sobie, o zadowoleniu własnej

ambicji, a potem obraziłam się, pokłóciłam się z nim w ostatnich chwilach jego życia, zostawiłam samego na ulicy! Jestem morderczynią, zwykłą, podłą, morderczynią!

Gardło miałam ściśnięte, łzy napływały do oczu. Nie wiedziałam co się dzieje naokoło, nie słyszałam o czym mówił ksiądz. Oprzytomniałam dopiero, gdy stanął przy mojej ławce. – Co z tobą, dziewczyno? Już trzy razy wywołuję cię, a ty ani drgniesz. Chora jesteś? A może nowe wiersze układasz? – zażartował. Spojrzałam na księdza żałośnie, chciałam coś powiedzieć i – nagle – rozbeczałam się na całą klasę. Zaniepokoił się. – Haniu, dziecko, co ci jest? Masz jakieś zmartwienie? Może w domu ktoś zachorował? Klasa poruszyła się niespokojnie. Nigdy nie widziano mnie tu płaczącej, nawet po dwójkę z matematyki.

– Proszę księdza – wyszlochałam – stało się coś strasznego: Leon Talkiewicz dziś w nocy popełnił samobójstwo!

Po klasie przeszedł szmer grozy. Ktoś jęknął, ktoś krzyknął – Jezus, Maria! Ksiądz zbladł.

– Opamiętaj się, dziewczyno! Skąd ci to przyszło do głowy? Leon? Leon – samobójstwo! Ale dlaczego? I kto ci to powiedział?

– On sam – szlochałam – on sam mi to powiedział wczoraj, że w nocy wypije truciznę, że zostawi list, niby to z powodu najpiękniejszej w Wilnie mężatki. Ale tej mężatki właściwie nie ma, a Leon zabił się, bo jest rozczarowany, bo życie to bagno... I tak naprawdę to ja, ja go zabiłam!

– Ty go zabiłaś? Co pleciesz? Rozczarowany... Mężatka, której nie ma... Bagno... Ksiądz był zupełnie zdezorientowany.

– Dlaczego mówisz, że ty go zabiłaś?

– Bo on mi się zwierzył i ja mogłam go uratować, ale dałam słowo honoru i potem obraziłam się, że nie chciał nic w liście napisać o mnie. A on się uparł tylko przy tej mężatce, której wcale nie ma!

– Sodoma i Gomora! – krzyknął ksiądz, załamując ręce – do czego ta dzi-

siejsza młodzież dochodzi! I co to za galimatias? Dlaczego miał w liście pisać o tobie? I skąd ta mężatka, której w ogóle nie ma? Gdzie ona się podziała? I czy jesteś pewna, że Leon rzeczywiście nie żyje?

– Pewna, zupełnie pewna – nie przestawałam buczyć – on miał w domu bardzo silną truciznę. I taką minę, gdy o tym mówił! Żeby ksiądz widział jaką on miał wtedy minę! A o mnie chciałam, żeby napisał tylko na niby, ale on się nie zgodził, bo się ośmieszy, więc wołał mężatkę...

Ksiądz machnął ręką z rezygnacją: – musisz najpierw uspokoić się trochę, bo widzę, że się nie dogadamy. No, już przestań płakać. Jeżeli Leon mówił poważnie, to źle zrobiłaś nie mówiąc o tym nikomu. Ale miejmy nadzieję, że żartował. Leon... hm... biedny chłopak! Może rzeczywiście dał się oмотać jakiejś złej i przewrotnej kobiecie... W tym wieku zdarza się... Tak, tak, to jest dzisiejsza, pozbawiona zasad młodzież! Spojrzał wymownie na przygnębione twarze chłopców i zaczął nerwowo przechadzać się po klasie. Do lekcji jakoś nie mógł powrócić. – Trzeba będzie posłać kogoś do Leona dowiedzieć się – monologował – może jednak nie jest tak źle, może tylko zachorował. Wtedy po południu wybiorę się do niego sam. A jeżeli rzeczywiście nie żyje (straszne, straszne) – odprawię żałobną mszę. Ustalimy wspólnie dzień i godzinę. Ale nie, nie – to niemożliwe! Nie chce mi się wierzyć, to jakiś głupi kawał. Zadzwonił dzwonek, ksiądz zabrał dziennik i wyszedł mocno zaaferowany. Pobiegliśmy wszyscy na podwórze, żeby tam dokładnie omówić tragiczne wydarzenie.

– Trzeba się złożyć na wieniec – przypomniała Wańdzia.

– Tak, potwierdził zgnębiony Tomek – musi dostać piękny wieniec od całej klasy i dużo kwiatów.

Łzy znowu posypały mi się jak groch, sięgnęłam po chusteczkę i przypomniałam sobie, że zostawiłam ją na ławce.

– Zaraz wrócę – zawołałam, tłumiąc nowy atak łkań i pędem pobiegłam do klasy. Otworzyłam drzwi i – stanęłam jak wryta. W ostatniej ławce, na

zwykłym miejscu siedział Leon i najspokojniej w świecie wyjmował z teczki zeszyty. W pierwszej chwili ogarnęło mnie przerażenie. Halucynacja czy duch? – Zgiń, przepadnij, maro! – krzyknęłam, gotując się do panicznej ucieczki, a mara skrzywiła się z niesmakiem i powiedziała lekko schrypniętym basem Leona: – znów się wygłupiasz?!

Tak, niewątpliwie to był Leon, jak zawsze wysoki, chudy, zgarbiony i ponury, ale żywy, żywiusieńki!

– Więc ty żyjesz? – wykrztusiłam.

– A dlaczego nie miałbym żyć? – odpowiedział flegmatycznie.

– Nie było ciebie na pierwszej lekcji...

– Bo nie nauczyłem się religii, a wiedziałem, że ksiądz mnie dziś wyrwie.

– Przecież wczoraj mówiłeś...

Machnął lekceważąco ręką. – Wczoraj było co innego. Pokłóciłem się z moim starym, nie chciał mi dać kieszonkowego, nie miałem nawet na papierosa, więc byłem zły i zdenerwowany. Ale dziś już wszystko w porządku. Zresztą nie mam w domu żadnej trucizny, zbujałem cię.

Rzuciłam się na niego jak furia: – Ach, tak! Zbujalesz mnie! A ja wczoraj miejsca sobie znaleźć nie mogłam, w nocy nie spałam, dziś na religii cały czas beczałam... I ksiądz miał już mszę żałobną za ciebie odprawić, a myśmy składali się na wieniec... A ty żyjesz i mówisz spokojnie, że zbujalesz! Jesteś podły, podły blagier, kłamca, oszust! – wrzeszczałam.

Leon wytrzeszczył na mnie zdumione oczy.

– Koniec świata! To pojęcie wszelkie przechodzi! Ona robi mnie awantury i wymyśla za to, że dla jej przyjemności nie popełniłem samobójstwa! Bo jej się zachciało mszy i składki na wieniec! Ale, ale, moja panno! Skąd ksiądz dowiedział się o tym? Skąd msza żałobna i wieniec? Wypaplałaś? Takie twoje słowo honoru!

Nie zdążyłam się usprawiedliwić, bo drzwi uchylły się i do klasy zajrzał ksiądz.

– A-a! Nieboszczyk zmartwychwstał! – zawołał – a myśmy już ciebie opłakali. Chodźno tu, bratku, przejdziemy się na małą czarną. Chciałbym z tobą porozmawiać i dowiedzieć się czegoś o tym planowanym samobójstwie, o rozczarowaniu, o najpiękniejszej w Wilnie mężatce, która gdzieś zginęła...

Gdyby spojrzenie, jakie mi rzucił Leon, wychodząc za księdzem z klasy, mogło zabić – na podłodze pozostałby zimny trup. W każdym razie czułam się zdruzgotana.

W klasie niemniejszą sensacją od samobójstwa Leona, stało się jego zmartwychwstanie, a nazwa „nieboszczyk na urlopie” zastąpiła dumne przezwisko „stary kawaler”.

Z „małej czarnej” (tak nazywał ksiądz wszelkie nieprzyjemne rozmowy, prowadzone w cztery oczy) Leon wrócił mocno skwaszony. Z nikim nie chciał gadać, na żadne pytania nie odpowiadał i tylko, patrząc w okno, rzucił gorzką uwagę: – Wszystkie baby są jednakowe – poetki i nie poetki – żadna nie potrafi utrzymać języka za zębami i niby to w najlepszych intencjach wsypie człowieka na całego!

– Wszyscy mężczyźni, nawet żółtodzioby udający dorosłych, są blagierami i za wszelką cenę chcą imponować – powiedziałam, zwracając się do pieca, który przyjął moją uwagę z filozoficznym spokojem.

Dziś myślę, że w tej bezosobowej wymianie zdań, tkwiło dużo życiowej prawdy i słuszności jak po jednej, tak i po drugiej stronie.



Rozdział VI

Handlarz żywym towarem

Pewnego razu w czasie niedzielnej mszy, Wańdzia trąciła mnie łokciem i pochylając się do mego ucha szepnęła:

– Patrz, tam pod filarem stoi jakiś zabójczo piękny brunet i bez przerwy gapi się na ciebie.

Nigdy nie lubiłam rozmów w kościele, poza tym znajdowałam się właśnie w trakcie zawierania układu z Matką Boską Ostrobramską. Obiecywałam mojej Najmilszej Opiekunce, że jeżeli na jutrzejszej klasówce z matematyki otrzymam ściągę i profesor Sawicki nie przyłapie mnie na odpisywaniu, to przez cały tydzień nie spojrzę ani razu w lustro. Rewelacja Wańdzi w takiej chwili wydała mi się wysoce nieprzyzwoitą i zupełnie nie na miejscu. Spiorunowałam ją spojrzeniem i demonstracyjnie odwracając głowę, powróciłam do przerwanej transakcji. Po chwili namysłu dodałam jeszcze do poprzedniej ofiary obietnicę, wyrzeczenia się tańców na najbliższej sobótce i dopiero wtedy doszłam do przekonania, że tak wielkie poświęcenie nie może pozostać bez natychmiastowej nagrody niebios.

Załatwiwszy więc w ten sposób sprawę jutrzejszej klasówki, odetchnęłam z ulgą i obejrzałam się nieznacznie na filar, szukając na jego tle „zabójczego bruneta”.

Wańdzia miała słuszość – stał tam i gapił się na nas, a ściślej mówiąc na mnie, w sposób po prostu nieprzyzwoity. Nie jakiś tam sztubak albo student, tylko naprawdę wytworny i bardzo przystojny pan o lekko siwiejących skroniach.

– Ma chyba ze trzydzieści lat – pomyślałam z szacunkiem, bo w moim ówczesnym pojęciu, trzydzieści lat to był wiek prawie sędziwy.

– Wańdziu – szepnęłam prosząco – spójrz na mnie – może mam plamę na

nosie i dlatego on tak patrzy.

Wańdzia przyjrzała mi się bardzo uważnie i przecząco pokiwała głową. Na wszelki wypadek wyciągnęłam chusteczkę i starannie przetręłam twarz. Gdy po skończonym nabożeństwie szliśmy powoli ulicą Mickiewicza, rozkoszując się pięknym słonecznym dniem, Wańdzia obejrzała się i nagle ścisnęła mnie za rękę.

– Idzie za nami!

– Kto? – zdziwiłam się, bo już zdążyłam zapomnieć o tajemniczym nieznanym.

– No, ten brunet z kościoła.

Rzuciłam za siebie ukradkowe spojrzenie.

Rzeczywiście szedł wolno w pewnej odległości, ale wyraźnie tropił nas. Serce we mnie załopotało, wyobraźnia zaczęła gorączkowo pracować, wydobywając z pamięci najbardziej ponure historie z zasłyszanych opowiadań lub przeczytanych książek.

– Wańdziu, może to morderca, może handlarz żywym towarem!

Nie bardzo wiedziałam wprawdzie, co ten ostatni termin oznacza, ale mamusia nieraz przestrzegała mnie żebym nie wdawała się w żadne rozmowy z obcym mężczyzną, bo to może być handlarz żywym towarem. Początkowo myślałam, że jest to mniej-więcej to samo co handlarz nierogacizną i nie mogłam ani rusz zrozumieć jakie z tego tytułu mogło mnie osobiście zagrażać niebezpieczeństwo. A może dlatego, że mając do czynienia z bydłem, staje się wyjątkowo ordynarny i źle wychowany i nie wolno z nim rozmawiać? Na moje natarczywe pytania mamusia wyjaśniała mi w końcu, że to jest taki czarny charakter, który porywa młode dziewczęta, wywozi daleko za granicę i tam sprzedaje. Komu i po co sprzedaje, tego mamusia nie chciała czy nie umiała wyjaśnić. Ale wykombinowałam sobie sama, że prawdopodobnie do ciężkiej pracy w kamieniołomach, kopalniach złota, albo do haremu sułtana, który ma wprawdzie pięćdziesiąt pięć żon, ale cią-

gle mu jeszcze za mało. Ponieważ wcale nie uśmiechała mi się taka podróż w nieznane, ani nawet stanowisko pięćdziesiątej szóstej pani sułtanowej, zaczęłam bardzo gorliwie stosować się do mamusinych wskazówek. I kiedy pewnego razu jakiś pocziwy chłopiec zapytał mnie na ulicy, którądy idzie się na Zarzecze, odskoczyłam od niego jak oparzona, uciekając co sił w nogach. Chłopina został z rozdziawioną gębą na chodniku i musiał coś niepochlebnego pomyśleć o miejskich panienkach.

Wańdzia dość sceptycznie przyjęła moje przypuszczenia dotyczące zawodu pięknego bruneta. Stanowczo była odważniejsza ode mnie, bo ją raczej ta przygoda bawiła. Chichotała cały czas i co chwila oglądała się, informując mnie, że „on ciągle idzie”. W pewnej chwili oświadczyła, że musi już pędzić do domu, bo spóźni się na obiad.

– Zobaczymy za którą z nas pójdzie – dodała, mrugając do mnie łobuzersko.

– Wańdziu, – ja umrę ze strachu jeżeli pójdzie za mną! – jęknęłam.

– Nie bądź głupia – ofuknęła mnie. – Co on ci zrobi w biały dzień, przecież pełno ludzi naokoło.

Ponieważ pojęcie handlarza żywym towarem kojarzyło się u mnie po trosze z pojęciem ludożercy, miałam w duszy cichą nadzieję, że nieznajomy upatrzył sobie raczej mocno pulchniutką Wańdzię i skieruje swoje kroki za nią. Niestety, gdy po chwili odważyłam się obejrzeć, Wańdzi już nie było widać, a nieznajomy szedł w pewnym oddaleniu za mną. Już nie na żarty wystraszona, wzięłam nogi za pas i odbyłam wspaniały bieg maratoński po ulicach Wilna. Nie jeden zawodowy szybkobiegacz mógł mi pozazdrościć. Roztrącałam ludzi, zderzyłam się z jakąś staruszką, która posłała za mną uszczypliwą uwagę o „dzisiejszej młodzieży” i padłam do domu zziajana, czerwona jak upiór, nieprzytomna ze strachu.

Muśka aż ręce załamała na mój widok: – Na miłość boską, co się stało?!

– Och, mamusiu! – nie mogłam jeszcze złapać tchu – handlarz żywym

towarem... w kościele... tropił mnie... nie chciał iść za Wańdzą, choć ona o wiele grubsza...

– Nic nie rozumiem! – zirytowała się mamusia – jaki handlarz żywym towarem? Skąd się wziął w kościele?

– Nie wiem – westchnęłam. – Może wstąpił pomodlić się, żeby mu się handel udał, a potem postanowił porwać mnie.

– Porwać? Ciebie? – mamusia była wyraźnie zaniepokojona. – Rozmawiał z tobą? Dlaczego do tego dopuściłaś?! Co ci mówił? Co ci proponował?

– Nic nie proponował, bo wcale ze mną nie rozmawiał, szedł tylko z daleka aż do samego domu. Teraz wie gdzie mieszkam i może porwać mnie w każdej chwili. To na pewno był handlarz żywym towarem, tylko bardzo elegancki i przystojny. Wezwany na walną naradę tatuś, po wysłuchaniu mego opowiadania o przygodzie z tajemniczym nieznajomym, potraktował sprawę trochę lżej, jakkolwiek nie zbagatelizował jej całkiem.

– Uspokój się, Talu – powiedział do mamusi – wiesz przecież, że Hanka ma bujną wyobraźnię. Sama zresztą nabiłaś jej głowę tymi handlarzami, więc coś jej przywidziało się. Może jakiś znudzony panek spacerował sobie przed obiadem i przypadkowo zupełnie szedł za nią. Może mieszka gdzieś w pobliżu i zwyczajnie wracał do domu tą samą drogą. A że w kościele jej się przyglądał – no cóż – młoda, świeża buzia nieraz pociąga oczy. W każdym razie, Hanko, musisz być ostrożna, nie łązić po ulicach bez potrzeby i w żadne rozmowy z nieznajomymi nie wdawać się.

W ten sposób sprawa handlarza żywym towarem zdawała się być zlikwidowaną i wkrótce poszła w zapomnienie.



Rozdział VII

Pierwszy bal

Pod koniec karnawału dwie ostatnie klasy naszego gimnazjum – VII i VIII urządziły pod protektoratem Komitetu Rodzicielskiego wieczorek tańczący. Miał to być wieczorek na większą skalę, nie tak skromny jak nasze zwykłe sobotnie potańcówki i imprezy. Dyrektor pozwolił wystąpić na nim w „cywilnych” ubraniach, a nie w galowych mundurkach, oraz zaprosić młodzież z innych szkół. Komitet rodzicielski obiecywał zorganizować smaczny i tani bufet, postarał się również o „prawdziwą” orkiestrę. A więc nie będą to „skoki pod fortepian”, jak nazywaliśmy nieraz nasze sobótki. Wieczorek tańczący urósł w naszym pojęciu do rozmiarów balu. Już na parę tygodni przedtem o niczym innym nie mówiło się w klasie. Nawet chłopcy byli pochłonięci zbliżającym się balem, chociaż jak zawsze udawali zblazowanych i obojętnych. Za to my – dziewczęta, nie kryłyśmy wcale naszego podniecenia. Radosne, niecierpliwe oczekiwanie, skracały nam niekończące się rozmowy o dekoracji sali, o sukienkach i uczesaniu. Zadręczałam w domu mamusię projektami najbardziej pomysłowych fryzur. Raz chciałam upiąć swoje warkocze w olbrzymi kok, a krótsze włosy nad czołem zakręcić na papiloty. To znów błagałam, żeby pozwoliła mi uciąć warkocze i zrobić u fryzjera wchodzące właśnie w modę „chłopięce” uczesanie. Ale mamusia o niczym takim nie chciała słyszeć. Zamówiła u krawcowej śliczną niebieską sukienkę, kupiła nową błękitną wstążkę na kokardy do warkoczy, oświadczając stanowczo, że żadnych papilotów, żadnego ucinania włosów, ani „straszydeł na głowie” nie będzie.

– Masz takie śliczne warkocze, to największa ozdoba młodej dziewczyny i nie ma mowy, żebym pozwoliła tobie na oszpecenie się i ośmieszanie!

Dąsałam się trochę na mamusię, ale nie było rady. Nawet tatuś, który

wzywany na rozjemcę, w bardzo wielu przypadkach przychodził mi z pomocą, tym razem stanął całkowicie po stronie mamusi. Wyruszyłam więc na swój pierwszy bal w ślicznej błękitnej sukience i z błękitnymi kokardami w długich, ale skromnie spuszczonej i przerzuconej przez ramię, warkoczach.

Pierwszy bal! Gdy słyszę dziś w radio modną piosenkę pod tym tytułem, staje mi w oczach właśnie ten wieczorek. Brzęczą w uszach „te walczyki leciutkie jak świerszcze” i przeżywam na nowo swój pierwszy bal „z myszką, bal z łezką, bal za mgłą”. Jakie życie wydawało się wtedy cudowne! Jak zachwycano i cieszyło wszystko, najdrobniejszy szczegół! Udekorowana sala stała się pałacem z bajki. Koleżanki w różnobarwnych sukienkach, z loczkami, warkoczami, krótkimi fryzurkami były jakiegoś inne, niecodzienne, odświętne. Nawet chłopcy wyprzystojnieli, jakkolwiek większość z nich zjawiała się w galowych mundurkach i tylko niektórzy, w tej liczbie Leon – niedoszły samobójca, włożyli „cywilne” garnitury. Na sali przeważała młodzież. Ze starszych – trochę zaproszonych znajomych i krewnych, oraz „ciało pedagogiczne”. W jednej z klas, przerobionej na bufet, królowały matki z moją mamusią na czele. Krzątały się ustawiając półmiski kanapek, torty, ciastka i inne dobre rzeczy. Ale na razie do bufetu jeszcze mało kto zaglądał. Pochłaniała nas sala i wspaniała studencka orkiestra. Grali jak aniołowie różne two-stepsy, wchodzące w modę tanga, które jeszcze mało kto umiał tańczyć, walczyki, mazury, poleczki.

Byłam bardzo dumna gdyż tańczyłam nie tylko z chłopcami. Do walczyka poprosił mnie nasz stary, poczciwy Karaś, który z wielką powagą i staroświecką galanterią, okrążał ze mną salę. Poleczkę tańczyłam z profesorem Sawickim i ten zadziwił mnie werwą i humorem, jakiego w nim nigdy nie podejrzewałam. Jednak nie mógł sobie darować małej złośliwości, gdy odprowadzając mnie na miejsce stwierdził, że mam bez porównania więcej zdolności do tańca, niż do matematyki.

W przerwie między tańcami usiadłam obok Wańdzi. Moja kochana przyjaciółka w swojej różowej sukience wyglądała jak kwiatek i była nie mniej ode mnie szczęśliwa.

– Och, Wańdziu! – zawołałam z zachwytem – co za wspaniała zabawa! Chciałam dodać coś jeszcze, ale nagle... Nie, to niemożliwe! Czułam, że oczy otwierają mi się coraz szerzej, że się zamieniam powoli w słup. Wańdzia spojrzała na mnie zdziwiona, zaniepokojona nawet.

– Haniu, co ci jest? Ścisnęłam ją za rękę.

– Tam, tam przy drzwiach, patrz... Poznajesz?

– Och, – westchnęła Wańdzia – przecież to on!

Tak, nie było wątpliwości – w drzwiach stał wysoki przystojny brunet z kościoła.

– Handlarz żywym towarem! – wyszeptalam.

Ubrany był jak na prawdziwy bal, w czarny smoking, białą koszulę z muszką i wyglądał jeszcze bardziej wytwornie i elegancko niż za pierwszym razem. Rozglądał się uważnie po sali i nagle oczy jego zatrzymały się na mnie. Właśnie w tej chwili orkiestra zagrała cudownie marzącego walczyka, a „handlarz” prędkim krokiem przemierzył salę i skłonił się przede mną. Wstałam jak zahipnotyzowana. Serce waliło, policzki płonęły – nie wiedziałam sama: ze strachu, czy jakiegoś innego uczucia. Bałam się, że pomyłę kroki, że poplączą mi się nogi, że się skompromituję. Ale nieznamy tańczył wspaniale, obejmował tak mocno i delikatnie zarazem, prowadził tak umiejętnie, że wnet pozbyłam się obaw.

– Pani ślicznie tańczy – powiedział z uznaniem, po dłuższej chwili milczenia.

– Ale skąd pan się wziął na naszej zabawie? – wykrztusiłam pytanie, które nurtowało mnie od pierwszej chwili gdy go zobaczyłam w drzwiach.

Uśmiechnął się. – Jako dziennikarz wszędzie potrafię się dostać. Zresztą znam trochę profesora Góreckiego i właśnie z nim przyszedłem. Chciałem

panią poznać, wiedziałem, że chodzi pani do tej szkoły...

– Więc pan jest dziennikarzem! – wykrzyknęłam zdumiona – a ja myślałam...

– Co pani myślała?

– Widziałam pana w kościele, potem na ulicy szedł pan za mną... I... i wzięłam pana za handlarza żywym towarem.

– Co?! – Roześmiał się głośno i serdecznie, błyskając wspaniałymi zębami.

– Byłam pewna, że pan chce mnie porwać, żeby sprzedać mnie do kamieniołomów, albo do haremu jakiegoś sułtana.

Śmiał się teraz jak szalony, aż inne tańczące pary oglądały się na nas.

– Nie, to wspaniałe! Więc naprawdę wyglądam na nadwornego dostawcę haremowych piękności? Owszem, chętnie bym panią porwał, ale nie po to żeby sprzedawać. Raczej sam kupiłbym i to za najwyższą cenę na jaką mnie stać.

– E!... Pan żartuje – nadałam się.

– Wcale nie – przycisnął mnie mocniej do siebie.

– Od pierwszej chwili, gdy zobaczyłem panią taką rozmodloną w kościele, jestem pod jej urokiem.

– Zauważyłam, że pan przyglądał się mnie i myślałam...

– Że planuję porwanie? A ja zastanawiałem się tylko, o co, czy za kogo, modli się pani tak żarliwie.

Przypomniałam sobie klasówkę z matematyki i układ z Matką Boską. Zaczerwieniłam się po uszy.

– Marzyłem wtedy – mówił dalej, a głos jego był ciepły i miękki jak aksamit – jak dobrze byłoby, żeby takie niewinne, czyste i słodkie stworzenie pomodliło się za mnie, starego grzesznika.

– Pan wcale nie jest stary – oburzyłam się.

– W porównaniu z panią – bardzo!

Orkiestra przestała grać. Odprowadził mnie na miejsce.

– Nie przedstawiłem się jeszcze pani, jestem Konrad Sternicki, a teraz kiedy formalności stało się zadość czy mogę usiąść przy pani? – i nie czekając odpowiedzi zajął sąsiednie krzesło

– Zamawiam sobie następny taniec i będę pilnował, żeby mi panią ktoś nie porwał. Jakiś inny handlarz żywym towarem – zaśmiał się.

Następnym tańcem było marzące tango. Wymawiałam się trochę, bo nie byłam pewna czy dam sobie radę z tym nowomodnym i mało jeszcze znanym tańcem. Ale Konrad uparł się: – spróbujmy, na pewno pójdzie dobrze. No i rzeczywiście poszło. Nie mogło być inaczej z takim pierwszorzędnym partnerem. Tango tańczyło kilka par zaledwie. Reszta przyglądała się z zainteresowaniem. Spostrzegłam, że mój sukces i wyraźne wyróżnienie przez nieznanego, eleganckiego pana, zrobiły wrażenie na sali. Koleżanki patrzyły na mnie z zazdrością, chłopcy uśmiechali się ironicznie, gdyż czuli się dotknięci moją „zdradą”. Ale ja tryumfowałam: ach, niech widzą! Niech widzi moje powodzenie ten głupi Witek, który mnie stale dokucza i ciągnie za warkocze, niech widzi zarozumiały Leon, ten sam, co niedawno śmiał się na samą myśl, że w takiej głupiej smarkuli mógłby się ktoś zakochać. Niech pęka z zazdrości wyczupurzona Romka, która uważa się za dorosłą elegancką pannę, a nas wszystkich ma za nic! Właśnie Romka była najwięcej zaniepokojona moim sukcesem. Ubrała się na dzisiejszą zabawę zupełnie „po dorosłemu”. Pantofelki na sążnistych obcasach, sukienka mocno wydekoltowana (że jej też dyrektor nie zwrócił uwagi!), włosy krótko ścięte i skręcone nad czołem w chmurę loczków, a na twarzy chyba z pół kilograma pudru. Gdy rozmawiamy z Konradem w przerwach między tańcami, kręci się w pobliżu, rzuca mu zalotne spojrzenia, śmieje się głośno, wyzywająco. Wszystko, żeby zwrócić na siebie uwagę Konrada. A on nic. Wpatrzony we mnie i nikogo więcej na sali nie widzi.

Kiedy zagrano błękitnego walczyka i wodzirej – profesor Sawicki krzy-

knął: – panie proszą panów! – Roma w jednej chwili znalazła się przed Konradem i skłoniła się mu z najwdzięczniejszym uśmiechem. Wstał trochę ociągając się i spojrzał na mnie z żalem. Ale powiedziałam prędko, żeby Roma nie tryumfowała: – Jak to dobrze, że ma pan partnerkę, bo jestem trochę zmęczona i jeden przynajmniej taniec chcę przesiedzieć.

Ale kiedy poszli tańczyć zrobiło mi się smutno. Nie mogłam patrzeć ja ta głupia Romka wdzięczy się do niego, przewraca oczami i przytula w tańcu. Schowałam się za firankę w niszy okiennej, żeby nikt nie widział mojej porażki.

Po skończonym tańcu Konrad odprowadził Romę i ulokował na krześle pod oknem gdzie stałam schowana. Nie zauważyli mnie. Konrad skłonił się i chciał odejść, ale Roma wskazała mu krzesło obok siebie. Niechże pan nie ucieka, przynajmniej jednego poważnego i interesującego człowieka spotkałam na dzisiejszej zabawie. Bo reszta to dzieciuchy, nie ma nawet z kim porozmawiać.

– Małpa! – pomyślałam ze złością – udaje dorosłą. Nie ma się czym tak bardzo chwalić. Dziewiętnasty roczek, a jeszcze w siódmej klasie. Jeżeli szczęśliwie przebrnie do ósmej i zda maturę, będzie wtedy starą dwudziestoletnią pannicą. Konrad niezbyt skwapliwie przysiadł na sąsiednim krzeselku w takiej pozycji, jakby miał lada chwila zerwać się i uciec. Nie widziałam jego twarzy, gdyż byli odwróceny tyłem do okna, ale zauważyłam, że kręci się i rozgląda naokoło jakby kogoś szukał.

Romka plotła dalej trzy po trzy o naiwnych dziewczątkach i nieokrzyszanych chłopakach, z którymi musi przebywać w klasie, o swojej niezrozumiałej, tęskniącej za ideałem duszy i temu podobne bzdury.

Konrad przerwał jej nagle: – ta panienczka w błękitnej sukience z długimi warkoczami, z którą tańczyłem przedtem, jest z panią w jednej klasie?

– Ach, Hanka Boska – powiedziała niedbale – tak, to jest najmłodsza i najbardziej dziecinna z wszystkich koleżanek!

Myślałam, że ją rozedrę!

– Ładna i miła dziewczynka – głos Konrada zabrzmiał dziwnie ciepło.

– Ta-a-ak? podoba się panu ten typ lalkowatej urody? Bo ja powiem szczerze, nie widzę w niej nic specjalnego.

– Żmija! – pomyślałam.

– Ma piękne oczy, usta, włosy, śliczną cerę – wyliczał z zapałem Konrad.

– No, jeszcze cera owszem, trochę zanadto porcelanowa, ale ujdzie – poszła na kompromis Romka – ale usta takie sobie, oczy stanowczo za duże jak u cielęcia, a włosy – takie dwa potężne końskie ogony, dyndające się na plecach – zupełnie już niemodne. Poza tym, żeby pan wiedział jakie to śmieszne, głupiutkie i naiwne stworzenie!

– W tym jej największy wdzięk – Konrad nie dawał za wygraną.

– Tak pan uważa? Dziwne! Mężczyźni na ogół nie lubią takich niewińątek.

– Myli się pani, mężczyźni nie lubią zanadto przemądrzałych i pewnych siebie panien.

Cios był dobrze wymierzony – Romka na chwilę zaniemówiła, ale natychmiast wytoczyła ostatnie i najcięższe działo.

– Żeby pan wiedział jaki z Hanki tuman w matematyce! Kompletny tępak! Najprostszego zadania nie rozwiąże. Żeby nie ściagi i pobłażliwość profesora Sawickiego, nie wylazłaby z dwój!

– Ja też swego czasu miewałem dwóje z matematyki i – przepraszam panią, ale widzę profesora Góreckiego, mam jemu coś do powiedzenia.

Romka została sama jak niepyszna, a ja kipiałam ze złości w swoim ukryciu. Ta wstrętna, podła Romka! Tak mnie skompromitować! Konrad wprawdzie stawał w mojej obronie, ale to dlatego, że jest niezwykle rycerski. Pomimo to po rewelacjach Romki na pewno nie zechce ze mną rozmawiać. Zmartwiona wymknęłam się ze swojej kryjówki i cichaczem, żeby nie spotkać Konrada, przekradłam się do bufetu gdzie Muśka za-

fundowała mi herbatę, kanapki i ciastka. Przydało się bardzo, bo po tylu wrazeniach byłam już porządnie głodna. Na sali tymczasem zabawiano się w pocztę. Numerek miałam przypięty już od początku zabawy, to też wnet „listonosz” Dziegielewski przyniósł mi do bufetu całą furę liścików. Zaczęłam je przeglądać. Pisano, że ładnie wyglądam, ubolewano, że mam zajęte wszystkie tańce. Ktoś prosił mnie o walczyka, ktoś pisał, że jest kolegą z innej szkoły i chciałby mnie „bliżej poznać”. W liściku, pisanym znajomymi gryzmołami Witka, robiono mnie gorzkie wyrzuty, że zdradzam „swoich chłopców”, bawiąc się z obcym przybyszem. W innym (pomimo drukowanych liter poznałam jadowite żądło Romki) pisano:

– Ty, lalo porcelanowa, ty gąsko głupiutka! Czy naprawdę myślisz, że ktoś poważny może zainteresować się tobą? Uważaj, żeby ci się nie przewróciło w głupiutkiej główce.

– Wściekła jędza! – pomyślałam, gniotąc „czuły” liścik. Ale za to następny... ach, następny był cudowny!

„Królewno z bajki! Oczy Pani są jak głębie leśnego jeziora. Chciałbym w nie patrzeć bez końca, chciałbym je pić i w nich zatonać, pójść na samo dno. Wróżko szafirooka, brązowowłosa, jesteś najpiękniejszą i najmiłą dziewczyną jaką w życiu spotkałem!” Pod liścikiem pisanym śmiałym wyrobionym pismem, zamiast numeru figurowała litera K.

Mój smutek pierzchnął w jednej chwili. A więc nic nie pomogły intrygi Romki! Na próżno próbowała zdyskredytować mnie w oczach Konrada, na próżno czarowała go tyle czasu. Znowu lekka i wesoła pobiegłam na salę. W drzwiach zderzyłam się z Romką. Uśmiechnęła się do mnie słodziutko:

– Robisz dziś furorę, Hanusiu! Nic dziwnego – ślicznie wyglądasz!

– Czyżby? – zdziwiłam się obłudnie. – Zdawało mi się, że nie odpowiada tobie taki typ lalkowatej urody? Zresztą mam oczy jak u cielęcia, włosy jak końskie ogony i jestem kompletnym tumanem w matematyce. Ale zapamiętaj sobie ty, mądralo, że skończyło się pisanie listów i wierszy, a jak

będzie domowe zadanie, albo klasówka z polskiego, to też na mnie nie licz! Rozumiesz – nie licz! Wtedy ty będziesz zbierać dwóje za swoje wypociny i błędy ortograficzne, ty – duszo niezrozumiała z wypudrowanym nosem! Minęłam osłupiałą Romkę i z majestatyczną miną wkroczyłam na salę. Właśnie orkiestra zaczynała przygrywkę do mazura, pary ustawiały się śpiesznie, a do mnie podbiegł Konrad.

– Gdzie się pani schowała? Szukam panią wszędzie! Byłem w strachu, że uciekła już pani do domu. Tańczymy mazura, prawda?

I był mazur – wspaniały, ognisty mazur, radosny pęd w szczęście. Nie wiem dlaczego, dziś na zabawach nie tańczą mazura. Dlaczego taniec ten zachował się jedynie na deskach scenicznych? Czy dlatego, że dzisiejsza młodzież nie potrafi już wykrzesać z siebie tyle ognia, żywiołowej radości, szczerego polskiego temperamentu, fantazji, rozmachu?! Zawsze bardzo lubiłam melodyjne walczyki i tęskne tanga, chętnie tańczyłam też inne modne tańce, ale mazur pozostał jednym z ulubionych.

Potem było jeszcze dużo pięknych melodii, dużo rytmu i szczerego młodego uśmiechu. I były płomienne aksamitne oczy Konrada i słowa czułe, delikatne, niecodzienne, od których jak po winie kręciło się w głowie!

O dwunastej przyjechał po nas dorożką Tacik. Wracalam więc razem z rodzicami ku rozczarowaniu Konrada, który miał cichą nadzieję, że mnie odprowadzi. Przy pożegnaniu pocałował mnie w rękę długim i mocnym pocałunkiem. Byłam zmęczona, ale szczęśliwa. Tylko nogi w nowych, trochę ciasnych lakierkach piekły mnie niesamowicie, toteż zaraz na klatce schodowej zdjęłam je i po schodach lazałam na czworakach, co mocno zgorszyło mamusię, a rozśmieszyło Tacika.



Rozdział VIII

Warkocze

Pomimo odniesionego na balu zwycięstwa i zupełnego pogwałcenia Romki, jej krytyczne uwagi na mój temat głęboko utkwily mi w sercu. Podsluchana rozmowa nie dawala spokoju. Ze jestem tuman z matematyki, tego juz nie odmieni. Ze mam oczy jak u cielęcia, na to tez nie ma rady. Ale „końskie ogony”, tak, te dwa dlugie ciezkie ogony mozna przeciez zlikwidowac. Stanowczo wychodzil y z mody, zreszta wygladaly tak dziecinnie, tak po pensjonarsku, a ja po moim pierwszym balu zachorowalam nagle na „dorosl ość”.

Ponadto moda – ta wszechwladna, zachlanna i kapryсна pani po raz pierwszy zlapala mnie w swoje pazury, kusila na kazdym kroku wdziekiem krótkich chlapięcych fryzurek, ulozonych ręką jakiegoś mistrza Kazimierza czy Józefa w kunsztowne fale i loczki. Z zazdrością patrzyłam na moje kolezanki, które juz prawie wszystkie poobcinały włosy, z zazdrością przygladalam się na ulicy eleganckim paniom i ich krótkim puszystym puklom, wymykającym się spod kapeluszy.

Przypuscilam nowy atak do mamusi w sposob jak mi się wydawalo niezmiernie dyplomatyczny. Zaczęlam od ubolewania nad nią, że tyle czasu musi tracic przy moim myciu głowy, bo ja przeciez nigdy sobie sama nie dam rady z tymi dlugimi włosami. Ze często boli mnie głowa, że zbliża się lato i będzie mi ciezko, goraco z warkoczami. Ze przy czesaniu garściami wyrywam sobie włosy i jak tak dalej pójdzie – zupełnie wyłysieję. Ze przez zaplatanie warkoczy i wiązanie kokard kilka razy spóznilam się na pierwszej lekcję. Nic nie pomoglo. Muska pozostawala głucha na wszelkie tego rodzaju aluzje.

Wańdzia, która juz od dluzszego czasu kokietowala mnie krótką czupryn-

ką, na moje żalosne skargi ruszyła ramionami. – Masz się czego martwić! Po prostu idź do fryzjera i obetnij. Mamusia pokrzyczy trochę i na tym koniec. Najlepiej postawić ją przed faktem dokonanym.

– Co też ty mówisz! – oburzyłam się, ale złe ziarno już zapadło we mnie i zaczęło kiełkować.

Paręset marek potrzebnych na opłacenie fryzjera zaoszczędziłam ze swoich kieszonkowych pieniędzy, otrzymywanych od tatusia. Wandzia ofiarowała się mnie towarzyszyć do zakładu mistrza od nożyc. I oto blada, rozdygotana jak przed ciężką operacją, lecz zdecydowana na wszystko, zasiadłam przed lustrem w salonie fryzjerskim.

„Pour être belle il faut souffrir”, mówią francuzi, więc i ja postanowiłam cierpieć. Fryzjer wziął do ręki moje warkocze i ważąc je na dłoni pokiwał głową.

– Może się pani jeszcze namyśli, szkoda włosów, już takie prędko nie urosną. Serce mi się ścisnęło, z rozpaczą spojrzałam na Wańdzię. Mruknęła do mnie zachęcająco.

– Niech pan tnie – powiedziałam głosem skazańca wstępującego na szafot i zamknęłam oczy, żeby nic nie widzieć. Pisnęły żałośnie nożyce raz, drugi, trzeci. Coś ciężkiego klapnęło na podłogę, głowa zrobiła się dziwnie lekka, jakby pusta. Jeszcze kilka magicznych ruchów mistrza i usłyszałam: – gotowe! Otworzyłam oczy. W lustrze patrzyła na mnie jakaś inna, obca twarz okolona krótką, lecz bujną brązową czuprynką. Jednak ta nowa twarz podobała mi się, pociągała właśnie swoją nowością.

– Ślicznie, ślicznie wyglądasz! Zupełnie jak pazik! – zachwycała się Wańdzia.

– Faktycznie, ładnie pani z krótkimi włoskami – potwierdził uprzejmie fryzjer, podnosząc z podłogi moje wzgardzone warkocze. – Sprzeda pani czy zapakować?

Wiedziałam, że fryzjerzy kupują ładne włosy, ale gdy chodziło o moje wła-

sne, dumę mojej mamusi, poczułam się dotknięta tą propozycją. – Zabiorę, oczywiście zabiorę – powiedziałam śpiesznie.

Na ulicy zrobiło mi się jakoś markotno. Jak ja wrócę do domu? Co powie mamusia? Żeby choć Wańdzia poszła ze mną i swoją obecnością złagodziła czekającą mnie przeprawę. Ale Wańdzia nie miała zbyt czystego sumienia w tej sprawie i wolała nie pokazywać się u nas w domu, dopóki burza nie przeminie. Czmychnęła więc od razu po wyjściu od fryzjera. Z ciężkim sercem stanęłam pod drzwiami naszego mieszkania. Zadzwoiłam cichutko, nieśmiało, nie tak jak zwykle. Otworzyła mi Józka. Plasnęła w ręce na mój widok: – ojej! panno Haniu, a gdzie warkocze? Jaka panienka odmieniona! Spojrzałam na nią ponuro i bez słowa, krokiem karawaniarza weszłam do pokoju. Muśka wyjmowała właśnie z kredensu obiadowy serwis. Odwróciła się do mnie, krzyknęła i upuściła całą stertę talerzy, która z brzękiem rozprysła się u jej nóg. Stałam w progu z miną winowajcy, złapanego na gorącym uczynku przestępcy, oczekującego wyroku zbrodniarza.

– Hanka – wykrztusiła wreszcie mamusia – coś ty zrobiła? Gdzie twoje warkocze?

Położyłam na stole paczuszkę, rozwinęłam ją drżącymi palcami. Dwa grube brązowe bicze, skręcone jak węże, upewniły mamusię, że nie uległa halucynacji. I wtedy stała się rzecz najgorsza – mamusia wzięła w ręce te odcięte, niepotrzebne już, a jeszcze ciepłe, żywe włosy i rozplakała się jak nad bliskim zmarłym. Wolałabym żeby mnie skrzyczała, wybiła nawet, ale ona tylko płakała, jak małe skrzywdzone dziecko. Na domiar złego trzask gruchotanych talerzy oraz płacz mamy ściągnęły do pokoju tatusia.

– Cóż to, Talu, zaczynasz opłakiwać zbite talerze – zawołał stając w drzwiach.

– Spójrz, Ludek, – Muśka tragicznym gestem wyciągnęła do niego nieszczęsne warkocze. Jednym spojrzeniem tatuś ogarnął sytuację: moją

grobową minę pod rozrzuconą grzywą krótkich włosów, zapłakaną mamusię, wystraszoną Józkę i stos potłuczonych talerzy. Surowo zmarszczył brwi.

– Ta smarkata zaczyna sobie za dużo pozwalać! Coś ty najlepszego zrobiła? Jak teraz wyglądasz?!

– Jak pod-sku-ba-ny kurczak! – wykrztusiła Muśka przez łyzy. Tego już była zanadto! A więc nie pazik, tylko kurczak i do tego podskubany! Teraz i ja nie wytrzymałam – beknęłam sobie na cały głos. I tak wśród szczątków talerzy, nad zwłokami warkoczy dałyśmy z Muśką wspaniały koncert wokalny, nad którym zamiast akompaniamentu, górowało gniewne gderanie rozsierzonego Tacika. I wtedy nagle od drzwi odezwał się rzeczowy głos Józki.

– A po mojemu proszę państwa nie ma o co robić tyle lamentu! Toć nie głowę pannie Hanusi ucieli, żeby tak rozpaczać. Wiadomo, szkoda włosów, ale można znowu zahodować. Tylko patrzeć – wyrosną nowe. I nie trzeba na panienkę gniewać się, bo to nie pomoże.

Ta zdrowa chłopska logika musiała rodzicom trafić do przekonania. Mamusia spojrzała na mnie zażawionymi oczami i pogłaskała po krótkiej czuprynie.

– Józka ma rację – stało się, zrobiłaś głupstwo, ale już nie becz. Zresztą wcale tak źle nie wyglądasz.

– Tak, powiedziałaś jak podskubany kur-cza-a-k! – chlifałam rozpaczliwie.

– Nie, nie, to tak tylko powiedziałam w rozżaleniu – pocieszała mamusia

– podobna teraz jesteś do bardzo przyjemnego chłopaczka.

– Otóż to, do chłopaczka! – odezwał się tatuś, również udobruchany.

– Idiotyczna moda! Dziewczęta chcą za wszelką cenę upodabniać się do chłopców. Jeszcze brakuje żeby zaczęły palić papierosy i chodzić w spodniach! (Nawet nie przypuszczał Tacik, że wkrótce spełni się jego pro-roctwo!). Jeżeli Hanka ma się zmienić w chłopca, to może ja, Talu, dla

równowagi zacznę nosić twoje sukienki i zapuszczę sobie warkocz.

Wizja mego wysokiego, barczystego Tacika, wciśniętego w mamina sukienkę i z chińskim warkoczykiem na plecach, tak żywo stanęła mi w oczach, że nie wytrzymałam i parsknęłam śmiechem.

Po chwili śmialiśmy się wszyscy, a najgłośniej chyba Józka, zadowolona i dumna ze skutków swojej interwencji. W ten sposób zakończyła się sprawa moich bezpowrotnie straconych warkoczy. Mamusia zawinęła je starannie w papier i zabrała do siebie. Będę pokazywać tym, którzy przedtem nie znali Hanusi – niech widzą, jakie miała piękne włosy! Niestety – nie zdążyła przed nikim pochwalić się, biedactwo. W jakiś czas po jej śmierci, porządkując pozostałe po niej drobiazgi, znalazłam w jednej z szuflad znajomą paczuszkę. Rozwinęłam ją i z ogromnym żalem długo patrzyłam na dwa starannie zaplecione i przewiązane niebieskimi kokardami warkocze. Dobre, troskliwe, już nie istniejące ręce pielęgnowały je i pieściły do ostatka. Teraz martwe i już nikomu niepotrzebne włosy stały się jedynie bolesnym wspomnieniem, pogrzebaną przeszłością, a nawet wyrzutem sumienia, bo przecież nad nimi mamusia płakała tak gorzko. Starannie zawinęłam paczuszkę i wrzuciłam ją do pieca.

To był pierwszy most, który za sobą spaliłam, most mego dzieciństwa, wczesnych młodzieńczych lat. Z biegiem czasu przybywało takich spalonych mostów coraz więcej.

O, wy wszyscy – mali, młodzi, dojrzały, poważni i starzy, którzy jeszcze macie matkę! Czy wiecie jak pomimo wszelkich zmartwień, kłopotów i niepowodzeń życiowych jesteście szczęśliwi? Czy wiecie, że w najcięższych, najtrudniejszych chwilach życia istnieje jeszcze dla was ucieczka, niezawodne schronisko na jej sercu dla was bijącym, w jej kochających ramionach? Dopóki żyje ten wasz najlepszy, najwierniejszy przyjaciel, nie jesteście samotni. I nawet będąc z dala, pochłonięci własnymi sprawami,

własną rodziną i troską, możecie mieć pewność, że ktoś myśli o was, ktoś modli się za was, ktoś czuwa gotowy w każdej chwili nieść pomoc i pociechę.

Nie krzywdźcie waszej matki, nie wyrzucajcie jej z domu, z serca, ani z pamięci. Niech będzie stara, śmieszna, nudna, może gderliwa, może czasem nieznośna. Ale to jest Matka, której serce bije tylko dla was. To jest sterany życiem człowiek, który najlepsze swoje lata poświęcił wam bez reszty. To jest wasz jedyny prawdziwy przyjaciel, na którego możecie liczyć.



Rozdział IX

„Bajką byłeś dla mnie ty”

W klasie moją nową fryzurę powitano z uznaniem, nawet pani Zofia przyznała, że nowa moda nie jest taka zła. Zwłaszcza latem o wiele wygodniej i zdrowiej z krótkimi włosami. Ale jeszcze jedną przeprawę miałam z Konradem, który załamał ręce nad mój widok i długo nie mógł przeboleć utraty „takich pięknych warkoczy”.

Z Konradem od czasu mego pierwszego balu widywałam się bardzo często. W niedzielę po mszy czekał na mnie przed kościołem, w dni powszednie gdy kończyłam lekcje, spotykałam go przy bramie gimnazjum.

Wańdzia, Zula i inne koleżanki ulatniały się wtedy dyskretnie. Były bardzo przejęte faktem, że zdobyłam takiego poważnego i eleganckiego adoratora. Snuły już w wyobraźni romantyczną historię, zakończoną hucznym weseliskiem ich najmłodszej koleżanki. Lubiły mnie i wiem, że szczerze cieszyły się moim sukcesem. Jedna Roma pękała z zazdrości i od czasu do czasu rzucała jakąś zatrutą żółcią uwagę. Ale się tym wcale nie przejmowałam. Zresztą tak mało wówczas przebywałam na ziemi! Unosiłam się w obłokach, nurzałam w błękitach niebieskich, wędrowałam na gwiazdy i fruwałam na skrzydłach marzeń, na skrzydłach pierwszej, bardzo młodzieńczej i naiwnej miłości.

Miłość!... Miłość to purpurowy ptak, co nadlatuje nagle, bezszelestnie, niewiadomo skąd. Odśpiewa swoją piękną, lecz krótką melodię i znów odfruwają. Nie sposób go złapać, zatrzymać, zamknąć w najwspanialszej nawet klatce. Jest nieuchwytny. Nie pomoże zastawianie sideł, wabienie najczulszym przywoływaniem, sypanie smakowitych okruchów. On nie uznaje okruchów. Porywa całą zdobycz, albo ją porzuca. Można go czasem zabić. Wtedy spada do nóg martwy, niepotrzebny, żałosny.

Miłość to jest szary cień, co idzie za człowiekiem od chwili urodzenia aż do śmierci. Nieodstępny towarzysz, przed którym nie ma ucieczki, ani schronienia. Czasem się go nie zauważa, czasem się o nim zapomina, ale on jest, czuwa i krok w krok postępuje obok. Nieraz się przeobraża, zmienia kształt – staje się wyraźny, natrętny i groźny – goni, ogarnia sobą, albo nikły, dyskretny, prawie niedostrzegalny sunie z daleka. Cienia nie można zabić i nie można się pozbyć. Umiera tylko wraz z nami.

Miłość – cuchnące bagno i najjaśniejsza świętość.

Miłość – ekstaza szczęścia i dno rozpacz.

Miłość – słoneczny blask majowego poranka i czarna samotność ponurej listopadowej nocy.

Miłość – plugawy, pełzający w błocie płaz i najczystsza, wzlatująca pod niebo modlitwa.

Miłość!...

Życie było takie cudowne, świat piękny, ludzie mili i dobrzy. Jedyne psuło mi radość nieczyste sumienie wobec rodziców. Czułam, że do mego „narzeczonego” – tak już w myśli nazywałam Konrada – ustosunkują się nieprzychylnie. Ponieważ z tego powodu starałam się jak najmniej pokazywać się z Konradem na ulicy, spotkania pod kościołem i bramą gimnazjum były bardzo krótkie i przelotne. Dłużej przebywać ze sobą mogliśmy tylko na szkolnych sobotnich potańcówkach, na które Konrad jakimś cudem potrafił się wkreślić. Propozycję Konrada złożenia wizyty moim rodzicom na razie stanowczo odrzucałam. – Muszę ich przygotować – twierdziłam – ale jakoś nie mogłam się zdobyć na rozpoczęcie z nimi decydującej rozmowy.

Przyszła wiosna, maj – cudowny, jedyny w roku miesiąc, oszalały barwami. Zielone, przetykane złotem dni i ciemno szafirowe wysrebrzone wieczory. Wiosna szła przez świat zataczając się jak pijana dziewczyna z ocza-

mi opitymi błękitem, roześmiana świergotem ptaków, kryształem rozbitych strumieni i rechotaniem żab. Bezczelna awanturnica, która bije po twarzy słońcem, bije po oczach wiatrem, bije po sercu pragnieniem niespełnionym i smutnym. W duszne noce krzyczy nieprzytomnie ziemią rodzącą w bólach trawę i kwiaty. Krzyczy ranami pękniętych drzew, ośleplym z miłości księżycem, błyskawicami niespokojnych snów. A kiedy zmęczy się wreszcie białą gorączką nocy i tańcem szalonych dni, gdy umilkną wylekłe słowiki, strzeli sobie w serce ostatnim nabojem zieleni i odejdzie w lato jak w śmierć.

– Tak pięknie i ciepło na świecie – powiedział pewnego dnia Konrad, czekający na mnie przed bramą gimnazjum, – czy nie moglibyśmy pójść po obiedzie na spacer? Na przykład na Zamkową Górę?

Pomysł był cudowny, zgodziłam się z entuzjazmem i tego samego dnia o umówionej porze podążyłam na swoją pierwszą w życiu randkę.

Zamkowa Góra w maju! Czy może być coś piękniejszego? Ruiny zamku toną w świeżej młodej zieleni, bzy pachną wprost nieprzyzwoicie słodko i odurzająco, a słowiki... słowiki dostają szału! To już nie śpiewy, to orgia dźwięków, koncert czarodziejski, kryształowe nuty rozsypane w powietrzu. Jeżeli dodać do tego śliczne zakochane oczy i słowa czułe, ciepłym aksamitnym głosem mówione, to taki wieczór staje się bajką, rozsnutą przez dobrą wróżkę. Zawsze roztrajkotana (zanadto, zdaniem mamusi) tym razem zaniemówiłam. Było zbyt dobrze i zbyt pięknie. Milcząc słuchałam tylko. Słuchałam słowików, słuchałam Konrada, który mówił za siebie i za mnie słowa dziwnie piękne. Że jestem najśłodsza, najmilszą dziewczeczką, że chciałby klęczeć przede mną i dziękować za to, że jestem. Że muszę być jego żoną wbrew wszystkim i wszystkiemu, bo nie wyobraża sobie życia beze mnie. Że będzie walczyć aby mnie zdobyć, że będzie na mnie czekać nawet kilka lat. Że w najbliższych dniach zjawi się u moich rodziców żeby z nimi poważnie porozmawiać.

Ach, czyż w ogóle da się powtórzyć wszystko co mówił! Ciekawe, że można tak siedzieć przy kimś na ławeczce, nic nie mówić, słuchać tylko i nie wiedzieć, że istnieje czas. Nie wiem kiedy zapadł późny majowy zmierzch, kiedy wypłynął i zawisł nad Zamkową Górą olbrzymi srebrny księżyc. Naokoło krążyły zakochane pary i właśnie głośny śmiech jednej z nich przełamał nagle zaczarowane koło.

– Która godzina? – zapytałam Konrada niespokojnie.

Spojrzał na zegarek i zmieszał się. – Już po dziesiątej.

– Jezus, Maria! – jęknęłam, zrywając się z ławki.

Skóra na mnie ścierpła. Znałam dobrze swoich rodziców. Przy całej pobłażliwości pod jednym względem byli nieubłagani i bardzo surowi: nie wolno mi było przekroczyć wyznaczonej godziny powrotu do domu – najpóźniej ósma w zimie i dziewiąta latem.

Konrad chciał mnie odprowadzić. – Nie, nie! – krzyknęłam przerażona. – na pewno już szukają mnie po mieście, mogą spotkać wracającą z panem i będzie jeszcze gorzej.

– Będę więc szedł za panią z daleka, aż do samego domu – zapewnił Konrad. Nie wiem czy potrafił wykonać swoje postanowienie, czy zgubił mnie już za pierwszym zakrętem, gdyż po ulicach miasta dosłownie galopowałam, roztrącając ludzi. Ale wchodząc do mieszkania czułam, że nogi mam jak z waty.

W domu był sądny dzień, a raczej wieczór. Tacik, Muśka i Józka od godziny biegali po mieście, szukając mnie u wszystkich koleżanek i znajomych. Zaglądali do kina, krążyli po ulicach. Właśnie rodzice wrócili przed chwilą sprawdzić czy w międzyczasie nie odnalazłam się. Nawet drzwi nie zamknęli mając zamiar wyruszyć na dalsze poszukiwania. Wślizgnęłam się do pokoju tak cichutko, że nie usłyszeli. Stali w gabinecie tatusia bladzi, przerażeni i odbywali krótką naradę wojenną.

– Zadzwoń na pogotowie – mówił tatuś nerwowo – może wpadła pod

samochód.

– Trzeba zawiadomić policję – wyjąkała mamusia – wspominała przecież o jakimś handlarzu żywym towarem, który chodził za nią. Może faktycznie porwano ją.

Stanełam w drzwiach, podobna do własnego cienia, tak bardzo zgnębiona i skruszona.

– Hanka! – Ten okrzyk zawierał wszystko: radość, bezgraniczną ulgę, gniew. Rzucili się do mnie oboje.

– Dziewczyno! Gdzieś ty była do tej pory?! My tu od zmysłów odchodzi my, szukamy cię po całym mieście! Co ty wyprawiasz?!

– Mamusiu! Tatusiu! – wyjąkałam – nie gniewajcie się... Spóźniłam się, bo... bo wieczór taki piękny i... i... czas tak zleciał.

– Ale gdzie? Gdzie ci tak szybko zleciał czas? Mów, gdzie byłaś!

– Na... Zamkowej Górze.

– Do tej pory na Zamkowej Górze? Coś tam robiła?

– Słuchałam słowików

Tatuś przyjrzał mi się podejrzliwie.

– A może mi panienka powie z kim tak słuchała słowików, bo o ile mi wiadomo, wszystkie twoje koleżanki są w domu.

Stało się! Kiedyś wreszcie trzeba było powiedzieć.

– Z... panem Konradem – wykrztusiłam, czerwieniąc się po uszy.

– Z panem Konradem? A któż to taki?! – krzyknęła mamusia.

– Czekaaj, czekaaj – tatuś zdecydowanie ujmował śledztwo w swoje ręce.

– Co to za chłopak? Z jakiej szkoły? A może student?

– Tatusiu, to nie chłopak, to już dorosły pan, dziennikarz. To ten sam z kościoła, co kiedyś szedł za mną... Handlarz żywym towarem...

– Jezu! – jęknęła mamusia.

– Potem poznałam go na naszej zabawie, tańczyłam z nim...

– Jak mogłaś tańczyć z kimś takim, jak mogłaś iść z nim na spacer! Tyle

razy cię przestrzegałam – lamentowała mamusia.

– Ależ on nie jest prawdziwym handlarzem żywym towarem, ja tylko wtedy tak myślałam. Mówię wam, że jest dziennikarzem i bardzo eleganckim panem. I... i... on chce ze mną ożenić się, chce przyjść do was i z wami porozmawiać.

– Proszę, proszę – ironizował tatuś – panience już zamażpójscie w głowie zamiast nauki. Ładne rzeczy!

Szybkim krokiem przeszedł się po pokoju i zatrzymał się przede mną.

– Smarkata jesteś! – krzyknął – wybij sobie te głupstwa z głowy! A ten twój pan Konrad – ładny gagatek! Chce przyjść porozmawiać z nami! Proszę! Powinien był zacząć od tego, a nie od słuchania słowików! No, niech się tu tylko pokaże, to ja już mu wygarnę!

Rozbeczałam się. – Jesteś niesprawiedliwy – on dawno chciał przyjść, tylko ja nie zgadzałam się. On mnie naprawdę kocha i ja jego też!

– Coraz lepiej! – irytował się tatuś. – Już ja wam te amory wybiję z głowy. Szlochałam coraz rozpaczliwiej. Mamusia nagle zaniepokojona zbliżyła się do mnie.

– Słuchaj, Haniu, wiem, że nie umiesz kłamać. Powiedz mi prawdę: czy ten... pan Konrad... całował ciebie?

– Tak, w rękę! – wyszlochałam.

– A... w usta?

– Jak mógł mnie w usta pocałować, kiedy tyle ludzi naokoło – rozżaliłam się jeszcze mocniej.

Mamusia odetchnęła. – No, już dobrze, nie płacz, ale pamiętaj: od dziś żadnych spacerów przy księżycu żeby mi więcej nie było!

– I żadnych spotkań z tym panem Konradem – dodał tatuś. Rok szkolny się kończy, musisz zabrać się ostro do matematyki, żebyś nie utknęła w siódmej klasie.

W tej chwili wpadła do pokoju zadyszana Józka. Nie spostrzegła mnie.

– Panny Hani nigdzie nie ma – wykrzyknęła z przejęciem – ale na Zamkowej Górze na ławeczce znalazłam to – potrząsnęła tryumfalnie swoją torebką i dodała chełpliwie: – w innym mieście jużby dawno ktoś ukradł, ale w Wilnie same uczciwe ludzie! Wiadomo – Ostra Brama blisko!

O, mądra, mądra Józka, niesłusznie uważana za gapiowatą! Tyś jedna wiedziała gdzie mnie szukać w piękny majowy wieczór, kiedy księżyc świeci, słowiki śpiewają, a bzy pachną tak odurzająco!

Na drugi dzień po lekcjach Konrad jak zwykle czekał na mnie przed bramą. W krótkich słowach opowiedziałam mu wczorajszą awanturę, łagodząc tylko niektóre powiedzonka tatusia. Wysłuchał mnie z ponurą miną i oświadczył, że po południu będzie u nas.

I rzeczywiście – zjawił się uroczysty, wyelegantowany, bardziej wytworny niż kiedykolwiek. Rodzice przyjęli go grzecznie, ale chłodno. Zaczął od przeprosin za spacer na Zamkowej Górze, za przetrzymanie mnie do tak późnej godziny, za nie złożenie wizyty od razu po zabawie, na której „miałem szczęście poznać panną Hanię”. Był czarujący. Pod adresem mamusi rzucił kilka zręcznych komplementów, do tatusia zwracał się z takim szacunkiem jak do prezydenta, albo innego dostojnika Państwa. Nie zdołał jednak przełamać lodów. Nie poznawałam mego przemiłego, uroczego i wesołego tatusia, serdecznej i zawsze gościnnej mamy. Byli bardzo poprawni, uprzejmi, tylko mrożąco zimni.

– Dobrze się stało – odezwał się w pewnej chwili tatuś, że pan nas odwiedził i nie chodzi nam o przeprosiny, tylko o wyjaśnienie sprawy pana znajomości z Hanką.

Mamusia spojrzała na mnie wzrokiem, który mówił bardzo wyraźnie: –teraz masz wstać i wyjść z pokoju! – ale udałam że tego nie widzę i tylko usunęłam się w najdalszy kąt.

Konrad wyprostował się i przybrał znowu bardzo uroczyście minę. – Kocham pannę Hanię i pragnę by została moją żoną!

Zaczerwieniłam się po uszy, mamusia wydała lekki okrzyk, tatuś skrzywił się jak po wypiciu octu.

– Dziwię się panu – powiedział – zdaje się jest pan dorosłym człowiekiem, nie żadnym młodzieniaszkiem. Czy pan nie widzi, że Hanka to jeszcze dziecko? Do małżeństwa ma bardzo dużo czasu. Dopiero za rok zdaje maturę, potem idzie na studia. Czy pan uważa za właściwe zawracać jej głowę tymi sprawami i przeszkadzać w nauce?

Konrad poruszył się niespokojnie. – Panie mecenasie, przyznaję panu słuszność, ale proszę zrozumieć, że ja wcale nie nalegam, żeby panna Hanka już teraz została moją żoną. Będę cierpliwie czekał parę lat, nawet jest mi to na rękę, gdyż mam jeszcze do załatwienia pewne osobiste sprawy. Chcę tylko prosić, żeby państwo nie odbierali mi nadziei na przyszłość i pozwolili bywać u siebie. Tu, pod okiem rodziców chyba mogę widywać czasem pannę Haneczkę.

Niestety – odrzekł tatuś – nie mogę się na to zgodzić. Nie chcę, żeby Hanka miała teraz głowę nabitą projektami matrymonialnymi, nawet robionymi na dalszą metę. Nie wiem teżm, jakie osobiste sprawy ma pan do załatwienia – właściwie nie znamy pana wcale. Mogę natomiast zaproponować co innego. Przez cały rok nie będzie się pan z Hanką kontaktować. Zaznaczam z całą stanowczością, że nie życzę sobie żadnych spotkań, korespondencji ani innych takich głupstw. Jeżeli wasza miłość – tu skrzywił się ironicznie – przetrwa tę próbę i po roku będziecie oboje tego samego zdania co dziś, zacznie pan u nas bywać w charakterze oficjalnego konkurenta.

– To ostatnie słowo pana mecenasa?

– Jak najbardziej!

– Ciężki warunek, ale go przyjmuję, jestem pewny swoich uczuć. A... pani?

– zwrócił się do mnie.

– Będę też czekała cierpliwie – wyjąkałam przez łzy.

– I nie zrazi się niczym? Zaufa mnie?

– Tak...

Pożegnał się z rodzicami, pocałował mnie w rękę i wyszedł z miną bohatera schodzącego ze sceny. Wyglądał naprawdę imponująco!

Po jego wyjściu wybuchnęłam płaczem. – Jesteś tyranem, jesteś ojczymem, a nie ojcem! Jak mogłeś tak postąpić? Co by ci szkodziło gdyby czasem do nas przyszedł?! I mamusia też dobra! Ani słowa w mojej obronie, ani słowa!

Tatuś położył mi rękę na ramieniu i powiedział dziwnie łagodnie: – dziecko, rozumiem, że jesteś rozgoryczona, dziś masz żal do nas, ale kiedyś nam może podziękujesz. To nie jest odpowiedni człowiek dla ciebie. Przystojny, elegancki, inteligentny – przyznaje, ale... nie podoba mi się! Jest dużo starszy od ciebie i jakiś zanadto tajemniczy. Co my o nim wiemy? Nic, kompletnie nic! Sternicki... dziennikarz... hm... Muszę zebrać o nim trochę informacji i zbadać co to za jeden.

Ale zanim tatuś wprowadził w czyn swoje postanowienie, już następnego dnia uderzył piorun.

– Hanka! Jakaś pani chce z tobą mówić! – zawołała podczas dużej pauzy Zula. Spacerowałam pod rękę z Wańdzią i zwierzałam się jej z przeżyć wczorajszego popołudnia.

– Jaka pani? Gdzie?

– W ogrodzie, przy altance – Zula pobiegła dalej, potrząsając kruczo czarną czuprynką.

Zaciekawiona niespodziewaną wizytą, puściłam ramię Wańdzi i pobiegłam we wskazanym kierunku. Koło altanki przechadzała się nieznajoma pani w szarym kostiumie. Mogła mieć ze trzydzieści lat. Twarz miała niebrzydka, ale trochę bladą i chorowitą, oczy – niespokojne, rozbiegane, jak u ludzi bardzo nerwowych. Zmierzyła mnie od stóp do głowy uważnym, trochę ironicznym spojrzeniem.

– Pani jest Hanką Boską?

– Tak – patrzyłam na nią pytająco.

– Ja jestem Sternicka, żona Konrada.

– Co-o?! Ziemia zawirowała pode mną, niebo i słońce spadły mi na głowę, zdruzgotały, zmiażdżyły w proch. Zdawało mi się, że źle słyszę, źle rozumiem, że śnię jakiś potworny sen. Nieznajoma uśmiechnęła się złośliwie, zadowolona z wrażenia.

– Pani się dziwi? Konrad nic pani nie mówił? Ach, ci mężczyźni! Widzę, że muszę pani wyjaśnić jak sprawy stoją. Otóż były między nami różne nieporozumienia. Ja jestem nerwowa, on – uparty, więc jak to w małżeństwie się zdarza, wybuchały sprzeczki i w końcu postanowiliśmy zamieszkać osobno przez jakiś czas. Konrad wyprowadził się, ale odwiedzał nas, dawał na utrzymanie dzieci (mamy dwóch synów siedem i dziewięć lat). Nawet wkrótce zaczął mówić, że to nie ma sensu taka rozłąka i że jak tylko moje nerwy trochę się uspokoją, zamieszkamy znów razem. A potem nagle przestał o tym mówić, przestał przychodzić, pieniądze wysyłał pocztą. A wczoraj wieczorem zjawił się i oznajmił, że postanowił rozwieść się ze mną, że ta decyzja jest nieodwołalna, gdyż poznał panią i chce się z panią żenić. Więc przyszedłam, żeby pani powtórzyć to, co jemu wczoraj powiedziałam: Ja się na rozwód absolutnie nie zgodzę. Myślę też, że pani nie zechce rozbijać rodziny i zabierać dzieciom ojca. Pani jest jeszcze bardzo młoda, zapomni prędko, a on w końcu będzie musiał wrócić do mnie. – Bo jeżeli pani nie wyrzeknie się go – w jej głosie zabrzmiała groźba – to ja będę wiedziała jak postąpić! Ja potrafię pani oczy wypalić, ja...

– Dosyć! – krzyknęłam jakimś nie swoim, zupełnie zduszonym głosem.

– Niepotrzebnie mnie pani grozi i straszy. Z chwilą, gdy dowiedziałam się o wszystkim, pani mąż przestał dla mnie istnieć. Niech go sobie pani zabiera! Nic on mnie już nie obchodzi, nie zobaczę go nigdy w życiu! Odwróciłam się i popędziłam do klasy. W drzwiach natknęłam się na panią Zofię.

Spojrzała na mnie uważnie.

– Co to? Chora jesteś? Wyglądasz jakbyś miała zemdleć.

– Głowa mnie bardzo boli, źle się czuję – szepnęłam.

Dotknęła ręką mego czoła. – Gorączki nie masz, ale blada jesteś jak trup.

Zabieraj książki, idź do domu i połóż się.

– Dziękuję... dobrze... tak zrobię...

Pośpiesznie pakowałam do teczki książki. Wańdzia przyglądała mi się z niepokojem.

– Haniu, co się stało? Kto była ta pani? Dlaczego idziesz do domu?

– Później, później, kiedy indziej powiem, a teraz Wańdziu, zrób dla mnie jedną rzecz. Postaraj się spotkać tego... Sternickiego... Napiszę zaraz kilka słów, oddasz mu – dobrze?

Pośpiesznie wydarłam z zeszytu kartkę, drżącą ręką skreśliłam: – Wiem wszystko. Pan jest podły. Proszę nie pokazywać się mnie więcej na oczy. Nie przyjmę żadnych listów, ani wyjaśnień. Proszę wracać do żony i do dzieci.

W domu mamusia powitała mnie zdziwionym i zaniepokojonym spojrzeniem. – Dlaczego wracasz tak wcześnie? Zachorowałaś? Czemu jesteś taka blada?

Drewnianym, nieswoim głosem wyrecytowałam:

– Mamusiu, oboje z tatusiem mieliście słuszność. Konrad jest żonaty, ma dzieci. Jego żona była dziś u mnie... Wszystko to takie ohydne! Czuję się jak oblepiona błotem! Nie chcę go więcej widzieć ani wspominać... I... w ogóle nie mówcie już ze mną na ten temat.

Poszłam do swego pokoju i rzuciłam się na łóżko. Nie wstałam na obiad. Słyszałam niespokojne szepty i kroki za drzwiami. Nie odzywałam się. W pewnej chwili doszedł mnie głos tatusia: – może wejdę do niej, porozmawiam i szept mamusi: – nie, nie, niech się trochę uspokoi, niech przegryzie swój ból. To jej pierwsze w życiu rozczarowanie, pierwsza wiosen-

na burza.

Dopiero pod wieczór mamusia weszła do mego pokoju, usiadła na łóżku, objęła mnie mocno.

– Wstań, Hanusiu, zjedz coś, dziecko! Cały dzień nic w ustach nie miałaś. Spojrzałam w kochające, zatroskane oczy i nagle zarzuciłam jej ręce na szyję, przytuliłam się mocno i rozplakałam żałośnie, topiąc w łzach gorycz pierwszego zawodu.

A jednak w kilka lat później jeszcze raz spotkałam Konrada. Byłam już mężatką i matką małej rozkosznej córeczki. Od dawna nie mieszkałam w Wilnie i przyjechałam odwiedzić grób mamusi. Ponieważ po wyjściu z cmentarza zostało mi do pociągu trochę czasu, postanowiłam przejść się po mieście i wtedy na ulicy Wielkiej prawie zderzyłam się z Konradem. Poznałam go od razu, choć bardzo postarzał się, zeszcupiał, a skronie miał zupełnie białe. I bruzdy koło ust pogłębiły się mocniej.

Stanął jak wryty na mój widok, ja też mimo woli zatrzymałam się.

– To pani?... – wyszeptał

– Tak... A... to pan?...

Po tej wielce inteligentnej wymianie zdań zapadło milczenie. Zastanawiałam się jak z tego spotkania wycofać się, więc bąknęłam, że przyjechałam do Wilna na bardzo krótko i za dwie godziny mam pociąg do domu.

Zaproponował żebyśmy wstąpili do Sztrala na kawę, bo przecież po tylu latach, skoro tak niespodziewanie spotkaliśmy się, możemy chwilkę porozmawiać. Miałam zamiar odmówić i nagle, nieoczekiwanie dla siebie samej, zgodziłam się. Może kierowała mną kobieca ciekawość dowiedzenia się jak zeszyły mu te lata, a może chęć zaprezentowania się w roli mężatki i matki.

Ale przy kawie rozmowa początkowo nie kleiła się. Zdania padały sztuczne, naciągane, przerywane długimi pauzami. O pogodzie, o zmianach

w Wilnie – takie sobie przelewanie z pustego w próżne.

W pewnej chwili Konrad przechylił się przez rozdzielający nas stół i spojrzał na mnie uważnie swoimi zawsze pięknymi oczami. – Prawie się pani nie zmieniła. Tylko inne uczesanie i strój. Ale te same oczy, te same usta, ten sam wdzięk. I po chwili dodał: – słyszałem, że wyszła pani za mąż. Chciałbym zadać trochę niedyskretne pytanie. Proszę mi wybaczyć, ale... czy jest pani szczęśliwa? Poczułam ukłucie w sercu. Szczęśliwa? Mój Boże! Jakie dalekie już było ode mnie to pojęcie! Ale powiedziałam swobodnie, nadržając miną: – mam śliczną słodką córeczkę, którą szalenie kocham, jakże więc mogłabym nie być szczęśliwa?

– Och, to źle, to bardzo źle, jeżeli zaślania się córeczką. Czy to jest jedyny, godny entuzjazmu punkt w pani małżeństwie? A... mąż?

Postanowiłam się zemścić – a’propos małżeństwa – jak się miewa pańska żona? Dzieci?

Spochmurniał jeszcze bardziej. – Rozszedłem się z żoną ostatecznie. Dzieci pozostały przy niej. Łożę na ich utrzymanie, od czasu do czasu odwiedzają mnie. To wszystko. Nic mnie z nimi nie łączy. I dodał z przekąsem: – pani szlachetna ofiara była zupełnie niepotrzebna. Nie skleila mego małżeństwa.

– Moja ofiara? – zdziwiłam się. – Więc pan sądzi, że to była ofiara z mojej strony? O, nie! Po prostu z chwilą, gdy dowiedziałam się, że należy pan do innej kobiety, że krzywdzi pan ją i własne dzieci, że jednocześnie oszukiwał pan mnie, trzymając te sprawy w tajemnicy, z tą chwilą przestałam pana kochać.

– Miałem zamiar rozwieść się z nią i dopiero wtedy przyznać się do wszystkiego. Wiem, pani była bardzo młodziutka i wrażliwa, a jednak miłość potrafi wszystko zrozumieć i przebaczyć. Na to liczyłem. Widocznie jednak, jeżeli chodzi o panią – nie była to miłość w całym tego słowa znaczeniu.

– Możliwe – uśmiechnęłam się z przymusem – myślę, że pierwsza miłość

jest tylko i wyłącznie przeczuciem prawdziwej miłości. Dlatego bywa piękna, czuła, delikatna, ale bardzo nietrwała. Łatwo ją zmrozić, zniszczyć, zabić...

– A czy już znalazła, czy spotkała pani tą prawdziwą? Milczałam.

– A, widzi pani! Obawiam się, że i do pani ta prawdziwa miłość przyjdzie za późno. Czy pani wie, że od tego czasu nie kochałem żadnej innej kobiety? Że nie przestałem ani na chwilę myśleć o pani? A przecież mogliśmy być szczęśliwi! Nosiłbym panią na rękach, zmiatałbym prochy spod jej stóp!

– Nie buduje się szczęścia na czyjejs krzywdzie... Myśl o żonie pana i o dzieciach zatrułaby mnie każdą chwilę.

– I tak rozstaliśmy się, a o ile mnie wiadomo, ona jakoś ułożyła sobie życie. Unieszczęśliwiła tylko pani mnie, a może... może i siebie. Czy pani wie, co jest jedyną pociechą w mojej samotności? Nerwowym ruchem wyciągnął z kieszeni portfel i ostrożnie wyjął z przegródki moją starą, trochę już zniszczoną fotografię, którą wyprosił u mnie zaraz po moim pierwszym balu. Zobaczyłam roześmiane oczy, gimnazjalny mundurek, przerzucone przez ramię warkocze. Zapadło milczenie. Konrad patrzył teraz już nie na mnie, ale na zdjęcie, które wciąż trzymał w ręce. Orkiestra zaczęła grać wchodzącą w modę melodię. Nie odrywając oczu od fotografii zanucił cichutki refren piosenki:

Bajką byłaś dla mnie ty,
nie wrócą dawne dni,
miłość to upojenie,
to urojenie,
to gorzkie łyzy...

Wstałam gwałtownie z krzesła. – Muszę już iść, spóźnię się na pociąg.

– Odprowadzę panią.

– Nie, nie – zaprotestowałam – stanowczo nie! Proszę tu jeszcze zostać, ja

wyjde sama.

Wybieglam z kawiarni jakby mnie ktos gonil. Zatraskujac drzwi mialam takie uczucie jak wtedy, gdy wrzucalam do pieca swoje warkocze. Jeszcze jeden most zostal spalony. Jak pozegnanie biegla za mna melodia i slowa modnego tanga:

Bajka byla dla mnie ty...

— ✧ — ✧ — ✧ —

Rozdział X

Upływa szybko życie...

Po historii z Konradem na dłuższy czas straciłam humor, spoważniałam i jakoś od razu „wydoroślałam”. Rodzice okazywali mi w tym okresie jeszcze więcej serca i troskliwej opieki.

W gimnazjum jedynie z Wańdzą i Zulą rozmawiałam na temat swego pierwszego rozczarowania, tylko one wiedziały prawdę i prześcigały się w okazywaniu mi współczucia, nie szczędząc wyrazów oburzenia wobec postępowania Konrada. Resztę koleżanek, zaciekawionych naszym zerwaniem, zbywałam wymijającymi odpowiedziami. Domyślały się jednak, że z moim „narzeczonym”, jak go już nazywano, coś jest nie w porządku. Patrzyły więc na mnie z szacunkiem, jak na osobę dorosłą, która ma „złamane serce”. Chodziłam w aureoli romantycznej i nieszczęśliwej miłości. Trochę mi to schlebiało i łagodziło ból, którego nie mogłam jeszcze zupełnie się pozbyć.

Konrad znikł. Dowiedziałam się później, że tatuś odbył z nim niezbyt przyjemną rozmowę w skutek czego wyjechał na pewien czas z Wilna.

Zbliżał się koniec roku szkolnego, trzeba było forsownie zabrać się do pracy i ta okoliczność trochę odsunęła na drugi plan inne zmartwienia. Na półroczu miałam z matematyki trójkę z minusem i teraz drżałam, że Sawicki zechce mnie zatrzymać w VII klasie, albo dać poprawkę. W dniu konferencji, gdy rozstrzygały się nasze losy, zakradłyśmy się z Wańdzą do ogrodu pod okno pokoju nauczycielskiego, gdzie odbywała się narada. Na szczęście okno to mieściło się na parterze i z racji pięknego czerwcowego dnia było szeroko otwarte. Przykucnęłyśmy w trawie i bojąc się nawet odychać, zamarłyśmy w bezruchu. Gdy padło moje nazwisko, w pokoju nauczycielskim uczyniła się wrzawa...

– Zdolna dziewczynka, wybitnie zdolna, powiedziałbym nawet – utalentowana! – unosił się z zapalem kochany Karaś.

– Doskonała uczennica – potwierdził Butkiewicz – jedyna kobieta, która u mnie z logiki ma piątkę – dodał żartobliwie.

– Zaniebalała się ostatnio – mruknął łacinista – więcej niż na czwórkę u mnie nie zasługuje, a i to trochę naciągnięta.

– Ja jestem z niej zupełnie zadowolona – odezwała się pani od francuskiego – język ma opanowany, akcent dobry.

Pani Zofia, i inni też gorąco mnie popierali. Jeden Sawicki milczał złowrogo.

– Zdaje się z matematyką u niej nienajlepiej – zaatakował go dyrektor.

– No cóż – odezwał się wreszcie Sawicki – ona rzeczywiście nie ma matematycznej głowy i na to już – niestety – nic nie poradzimy. Żebym ją nawet zostawił na drugi rok, albo dał poprawkę, to jej niewiele pomoże. Ponieważ jednak z innych przedmiotów ma same piątki i czwórki dałem jej trójkę i... niech idzie z Bogiem do ósmej klasy.

Kochany Sawicki! Byłabym go w tej chwili uściskała!

– Ale jak sobie da radę w ósmej i za rok przy maturze? – zastanawiał się dyrektor.

W tym momencie nieznośna Wańdzia kichnęła jak z moździerza.

– Ktoś jest pod oknem – powiedziała pani Zofia i czyjeś krzesło odsunęło się z hałasem.

Czmychnęłyśmy w krzaki. Nie dowiedziałam się, jakimi argumentami zostały zwalczone wątpliwości dyrektora, dość że do ósmej klasy przeszłam i uszczęśliwiona wyjechałam z rodzicami na lato do Druskienik. Tam goiłam rany pierwszej zawiedzionej miłości, odbywając długie spacery do lasu, kąpiąc się w Niemnie, przesiadując nad wąską, lecz wartką i czystą jak kryształ Rotniczanką, albo wpatrzona w tajemniczą toń leśnego jeziora o fascynującej nazwie „Panieńskie Oczy”. Legenda twierdzi, że utopiły się

w nim dwie nierozłączne siostry, które miały nieszczęście zakochać się w tym samym młodzieńcu. Jeziorko, przedzielone i okolone szuwarami jak rzęsą, ma kształt okrągły i jedna połowa jest zupełnie jasna, a druga ciemna, prawie czarna. Godzinami potrafiłam wpatrywać się w nie, czarowało mnie pięknem i tajemniczością. Lato zleciało niewiadomo kiedy, i po wakacjach wróciłam do Wilna prawie zupełnie wyleczona z pierwszego zawodu, z nowym zapasem humoru i sił.

Niestety, wkrótce spadł na mnie drugi cios, tym razem o wiele cięższy. W listopadzie straciłam moją mamusię. Już od dłuższego czasu leczyła się na serce, ale zawsze była czynna, ruchliwa, pogodna i nikt z nas nie spodziewał się tak nagłej katastrofy.

Pamiętam, była to niedziela. Mamusia z rana czuła się trochę osłabiona, ale potem rozruszała się i kiedy po południu przyszły do mnie koleżanki, śmiała się i rozmawiała z nimi. Nagle zbladła, schwyciła się za serce i upadła. Tatuś jak oszalały wybiegł z domu po mieszkającego w sąsiedniej kamienicy lekarza. Rzuciłam się z płaczem do mamusi. Nie otwierając oczu, z wielkim wysiłkiem uniosła rękę i przeżegnała mnie. Potem ręka opadła bezsilnie. Kiedy po chwili wpadł do pokoju zadyszany tatuś, prowadząc ze sobą lekarza – było już po wszystkim. Klęczałam przy mamusi, szlochając rozpaczliwie, nie mogłam uwierzyć, że nie żyje. Staruszek lekarz podniósł mnie delikatnie i wyprowadził do drugiego pokoju mówiąc łagodnie: – nie trzeba płakać przy zmarłej, ona jeszcze słyszy.

Potem wszystko już wydawało się koszmarnym snem. Mało co z tego pamiętam. Nie wiem kto ubrał mamusię, kiedy i skąd się wzięła trumna. Przez nasze mieszkanie przewijała się moc ludzi. Znajome i nieznajome twarze. Zapłakane buzie moich koleżanek. Chłopcy nieśmiali i jacyś przerażeni. Poważne, współczujące oczy profesorów i dyrektora. Ktoś coś do mnie mówił ciepło i serdecznie. Ktoś tulił i całował. Widziałam płonące świece, spokojne, jakby uśpione rysy, leżącej w trumnie mamusi, widzia-

łam płaczącego jak dziecko tatusia, zupełnie załamane go i roztrzęsionego. Ale to wszystko do mnie nie docierało, odbywało się gdzieś na zewnątrz. Pogrzeb też odbył się za mgłą. Po powrocie z cmentarza dostałam dreszczy i położyłam się do łóżka. Chorowałam dwa tygodnie, miałam wysoką gorączkę i majaczyłam. Już w pierwszym dniu mojej choroby w mieszkaniu naszym zjawiała się poważna, zawsze trochę sztywna i oschła Ola. Przydźwigała pod pachą stosy zeszytów i oznajmiła tatusiowi, że dopóki nie wyzdrowieję będzie noce spędzać w moim pokoju i uczyć się tu. I rzeczywiście – przychodziła wieczorami, wypytywała mnie najpierw czy nie potrzebuję czegoś, mierzyła gorączkę, przygotowywała herbatę z cytryną, a potem rozkładała na stole podręczniki i zabierała się do pracy. Budząc się w nocy z niespokojnego, gorączkowego snu, widziałam palącą się na stole, ale zasłoniętą od strony mojego łóżka lampką i pochyloną nad książkami sylwetkę Oli. Przy najmniejszym moim ruchu, westchnieniu lub stęknieniu, Ola natychmiast przerywała naukę i zbliżała się do łóżka, podając mi lekarstwo albo coś do picia. Kiedy ta dziewczyna spała – nie mam pojęcia.

Wańdzia, Zula i inne koleżanki na zmianę dyżurowały przy mnie w dzień. Przychodziły zaraz po lekcjach i siedziały do wieczora, dopóki ich Ola nie zluzowała. Tatuś, w chwilach wolnych od swoich zajęć zawodowych, krzątał się koło mnie, ale biedak był wciąż jeszcze tak wytrącony z równowagi, że wszystko leciało mu z rąk. Gdy przychodziły koleżanki, zamykał się w swoim pokoju, gdzie do późnej nocy słyszałam jego nerwowe kroki.

W domu było smutno i ponuro, nawet Józka snuła się jak cień i pochlipywała, bo jej „wszystko naszą panią przypomina”. Pierwszego dnia po chorobie, idąc do gimnazjum, wstąpiłam do Ostrej Bramy. – teraz mam już tylko Ciebie, tylko jedną Matkę – mówiłam w myślach do swojej Opiekunki – przynajmniej Ty nie opuszczaj mnie i zastąp tę, którą straciłam. Ślicznie współprzymknięte oczy patrzyły prosto w moje serce z łagodnym smut-

kiem. Zdawało mi się, że dzielą mój ból. Kiedy blada, zmizerowana, w żałobnej sukience, zamiast zwykłego mundurka, zjawiłam się w klasie, przyjęto mnie pełną powagi i wzruszenia ciszą. Potem wstała nasza pierwsza uczennica Bronka Lewicka, odetchnęła i spróbowała przemawiać: – droga, kochana koleżanko! W imieniu całej klasy składam ci wyrazy głębokiego współczucia...

Ale nagle przerwała, machnęła ręką i krzyknęła: – dajcie mi spokój z przemówieniami! Co tu można powiedzieć?! Hanuś, rozumiemy cię, bolejemy z tobą, płaczemy z tobą! – i rozryczała się na cały głos, a za nią ja i cała klasa. Nawet chłopcy zaczęli podejrzenie smarkać i pochrząkiwać, a Leon mruknął: – psiakrew! coś mi do oka wpadło i wyciągnął z kieszeni chusteczkę.

Smutny był ten pierwszy dzień w gimnazjum, chociaż wszyscy, nie wyłączając profesorów, prześcigali się po prostu w okazywaniu mi serca i współczucia.

Ale jeszcze smutniejszy był powrót do domu. Józka otworzyła mi drzwi i uciekła do kuchni. Tatuś jeszcze nie wrócił z sądu – może wstąpił po drodze na cmentarz. W mieszkaniu było głucho i pusto. Nikt nie witał mnie radosnym uśmiechem i życzliwym pytaniem: – no, jak dziś poszło? Wszystko dobrze? Głodna jesteś?

Józka przyniosła obiad, postawiła przede mną i znowu odeszła. Nie mogłam jeść. Pustka wyzierała z każdego kąta, dusiła za gardło, przerażała. Gwałtownym ruchem odsunęłam talerz, oparłam czoło o krawędź stołu i rozsłochałam się tak strasznie, tak rozpaczliwie, że zdawało się iż wypłaczę serce. Dopiero teraz uświadomiłam sobie w całej pełni swoje osierocenie i że nigdy, już nigdy w życiu nie zobaczę dobrych, zatroskanych oczu mojej Muśki, nie usłyszę jej głosu, nie wypłaczę swoich zmarwień w ciepłych kochających ramionach.

Oprócz pustki jaka wytworzyła się po śmierci mamusi, oprócz tęsknoty za jej obecnością, męczyło mnie jeszcze poczucie nie naprawionej winy. Prześladowało pewne wspomnienie z ostatnich miesięcy jej życia. Było to na wiosnę, w okresie, kiedy dużyłam się w Konradzie. W piękną majową niedzielę umówiłam się z Wańdzą i Zulą, że spędzimy popołudnie w ogrodzie Bernardyńskim. Miałam też cichą nadzieję, że przyjdzie tam Konrad, a może nawet dołączy się do nas, chociaż na ogół trzymał się z daleka gdy widział mnie z koleżankami. Po obiedzie, kiedy już wybierałam się na zaplanowany spacer, mamusia, wyjątkowo tego dnia smutna i jakby przygnębiona, powiedziała: – idziesz do ogrodu Bernardyńskiego? Pójdę z tobą, bo mam ochotę przejść się trochę, a samej jakoś przykro być w niedzielę wśród ludzi. Tatuś przygotowuje na jutro obronę i jest bardzo zajęty.

I wtedy ja – podła, wstrętna dziewczyna zaczęłam się wykręcać: – kiedy ja, mamusiu, umówiłam się z Wańdzą i Zulą, mamy tyle do omówienia różnych naszych spraw. One się będą krępować przy tobie.

Mamusia spojrzała na mnie. W jej oczach zobaczyłam żal i wyrzut. – Dobrze – powiedziała spokojnie – idź więc sama. Poszłam, ale czułam się trochę niewyraźnie. Dopiero w ogrodzie rozruszałam się i prawie zapomniałam o chwilowej przykrości.

Kiedy śmiejąc się i gadając bez przerwy krążyłyśmy po cienistych alejach parku, Wańdzia trąciła mnie:

– Patrz, twoja mamusia!

Zobaczyłam znajomą smukłą sylwetkę. Mamusia szła powoli, smutna i zamysłona, jakaś dziwnie samotna w tym wesołym świątecznym tłumie. Z początku nie zauważyła nas i dopiero gdy Zula zawołała: – dzień dobry pani! – skinęła nam głową z życzliwym lecz smutnym uśmiechem.

Zatrzymałyśmy się niezdecydowane, Wańdzia szepnęła mi: – podejźmy do twojej mamusi, ona jest taka morowa! Ale mamusia nie spostrzegła naszego ruchu, albo udała, że go nie widzi. Minęła nas i po chwili znikła za

zakretem alei. Jakaś fałszywa ambicja przeszkodziła mi pożegnać się z koleżankami i biegnąć za nią, choć z całej duszy tego pragnęłam. Ale już do końca dnia straciłam humor.

Teraz, gdy mamusi zabrakło, wspomnienie powróciło, stając się bolesnym wyrzutem sumienia. Nie mogłam sobie znaleźć miejsca, a myśl, że krzywda, jaką jej wyrządziłam w ostatnich miesiącach życia, jest do nie naprawienia prześladowała mnie na każdym kroku. Żeby ożyła, żeby powróciła do mnie przynajmniej na kilka miesięcy! Jaką miłością, troską i serdecznością potrafiłabym ją teraz otoczyć! Jak starałabym się wynagrodzić jej i tamtą krzywdę i może wiele, wiele innych nieświadomie nawet, albo przez głupi egoizm młodości wyrządzonych!

Niestety! Śmierć zamyka i unosi wszystko. Przekreśla najlepsze chęci, najszczerszą skrucę pozostałych przy życiu. Zmarły staje się dalekim i obojętnym na nasze żale, łzy, wyrzuty sumienia. Pozostawia nam świadomość, że już nigdy go nie przeprosimy, niczego nie zdołamy naprawić. Gdyby ludzie więcej się nad tym zastanawiali i chcieli zawsze o tym pamiętać, może byliby miłsi i czulsi dla swoich najbliższych.

Wiele lat minęło od śmierci mamusi, ale jej samotna sylwetka w ogrodzie Bernardyńskim do dziś stoi mi w oczach. I gdy teraz zdarza się, że moje dorosłe dzieci nie mają dla mnie czasu, gdy jakąś wymówką usprawiedliwiają brak chęci towarzyszenia mi tu czy tam – mówię sobie: – wszystko w porządku! Tak musi być, bo każda najdrobniejsza nawet krzywda komuś wyrządzona nie mija bez śladu i choćby po wielu latach powrotną falą uderzy w nas samych.

Czas i młodość robiły swoje – powoli rany zaczynały się goić. Minęły pierwsze ciężkie miesiące, minęły rozpaczliwie smutne święta Bożego Narodzenia i Wielkanocy. Nadeszła wiosna, a z nią groźne widmo – matura. Po konferencji decydującej o dopuszczeniu do egzaminów dojrzałości, pani

Zofia wzięła mnie w cztery oczy i powiedziała: – słuchaj, Hanko, nad tobą długo zastanawialiśmy się czy nie zostawić ciebie na drugi rok w ósmej klasie. Bo po pierwsze – jesteś stanowczo za młoda, nie skończyłaś jeszcze siedemnastu lat i choćby z tego względu nie możesz być dojrzałą. Z matematyką sprawa też wygląda nie najlepiej, a nawet z niektórych innych przedmiotów opuściłaś się trochę. Wzięliśmy jednak pod uwagę twoje nieprzeciętne zdolności no i tę okoliczność, że straciłaś matkę. To prawdopodobnie miało duży wpływ na twoje zaniedbanie w nauce. Dopuszczono więc ciebie do egzaminów, ale musisz teraz wziąć się w garść i nadrobić zaległości. Zrozumiałam, że sytuacja jest poważna, to też rzuciłam się na książki jak wściekła. Chyba nigdy w życiu nie kułam tak jak w tym ostatnim okresie przed maturą. Ani razu dotąd nie repetowałam i sama myśl, że mogłabym utknąć w ósmej klasie raniła moją ambicję.

– Muszę zdać! Muszę zdać! – powtarzałam.

Zresztą gorączka przedmaturalna ogarnęła całą klasę. W kąt poszły wszelkie psikusy, imprezy, spacerzy. Prawie nie słyszało się innych rozmów niż na temat przerobionych materiałów. Nigdy też Ostrobramska nie zbierała tyle gorących modlitw, westchnień i rozpaczliwych błagań jak w te gorące dni.

Pierwszy egzamin – pisemny z polskiego – poszedł mi śpiewająco. Prędko uwinęłam się ze swoim zadaniem, przygotowałam ściągę dla Wańdzi i wychodząc z klasy upuściłam koło jej ławki (rozsadzili nas po jednej osobie, dość daleko od siebie) chusteczkę kryjącą w swym wnętrzu opracowany dla niej temat. Nikt nie zauważył, a Wańdzia została uratowana. Za swoje zadanie otrzymałam piątkę, specjalne wyróżnienie i zostałam zwolniona z ustnego.

Ale przed następnym – pisemną matematyką – byłam formalnie chora ze strachu. Na swoje siły w tym wypadku nie liczyłam wcale, nie miałam żadnych złudzeń.

– Książątko najmiłsze! Markizie! – błagam Jurka, najlepszego matematyka – ratuj! Ściągnę! Królestwo za ściągę!

– Zrobi się! – kiwną głową Jurek – tylko nie siedź beczynnie, cały czas udawaj, że piszesz. I uważaj, bo nie wiem w jaki sposób uda mi się podać ściągę.

Pociłam się więc nad czystym arkuszem papieru i z rozpaczą patrzyłam jak coraz więcej osób oddawało gotowe zadania i wychodziło z klasy. Jurek wyszedł jeden z pierwszych.

– Poszedł! – zawyłam w duszy – poszedł i nie rzucił ściagi! O, podły, podły, markiz! Co ja teraz zrobię?

Czas upływał a mój papier pozostawał czysty. Do klasy weszła woźna Janasowa.

– Dla panienki Boskiej przyniesiono z domu śniadanie – powiedziała, zwracając się do stołu, za którym zasiadała komisja – czy mogę podać?

Spojrzałam ze zdziwieniem. Śniadanie? Dla mnie? Przecież miałam ze sobą śniadanie.

– Kto przyniósł? – spytał dyrektor.

– Dziewczyna co u nich służy.

– Proszę pokazać – dyrektor uważnie obejrzał z wierzchu papier.

– Boska – zwrócił się do mnie – proszę przyjść tu do stołu i rozwinąć sobie paczuszkę, zobaczymy co w niej jest.

Na uginających się nogach zbliżyłam się do stołu, drżącymi palcami odwinęłam papier. Wewnątrz była bułka z szynką.

– Dlaczego przyniesiono pani śniadanie (przy maturze dyrektor zaczął używać tej formy, zwracając się do nas) czy zapomniała pani zabrać z domu?

Skinęłam głową twierdząco.

– Głodna pani?

Znow potwierdzające skinienie.

– Proszę zabrać bułkę a papier zostawić.

Długo i uważnie badał papier ze wszystkich stron, nawet pod światło spoj-
rzał. Wróciłam do ławki i śledziłam niespokojnie manipulacje dyrektora.
Widocznie jednak nie znalazł nic godnego uwagi gdyż rzucił papier do
kosza. Byłam zupełnie zdezorientowana. Co to znów za checa z tym śnia-
daniem? Czy miało ono coś wspólnego z Jurkiem i ściągą, czy faktycznie
Józka wpadła na pomysł, żeby mnie przy egzaminie podkarmić? Wcale nie
chciało mi się jeść, ale dla zachowania pozorów podniosłam bułkę do ust,
przyglądając się jej nieufnie. I wtedy zauważyłam, że jest przykryta dwoma
grubymi płatami szynki. Dlaczego dwa? Ostrożnie, udając że jem, podwa-
żyłam palcem jeden plaster. Jest! Wymacałam cienką małą karteczkę
papieru. Wydobyć jej nie było już problemem. Poczynam z prawdziwym
apetytem pochłonęłam opatrnościową bułkę i zabrałam się do roboty.
Żeby nie zwracać uwagi komisji, w dalszym ciągu kręciłam się, wzdy-
chałam, namyślałam, bazgrałam coś i kreśliłam aż wreszcie gdy Sawicki
zaczął pokrzykiwać na kilku pozostałych w klasie maruderów: – proszę
kończyć, proszę oddawać zadania – oddałam swój arkusz z boleściwą miną
osoby spracowanej i niepewnej wyniku. Oczywiście, przepisując w zdener-
wowaniu rzeczy, które były dla mnie i pozostały czarną magią, nie uni-
knęłam kilku błędów, na szczęście mniej ważnych. W rezultacie dostałam
trójkę. Może to i lepiej, gdyż bezbłędne zadanie u mnie, mogło komisji
wydać się bardzo podejrzanym.

– Markizie, jesteś geniuszem pomysłowości! – oświadczyła Jurkowi po
egzaminie. Uśmiechnął się zadowolony.

– Wykonanie jednak nie jest wyłącznie moje – zauważył skromnie – mu-
siałem wciągnąć do spisku panią Janasową. Doręczenie śniadania przez
kogo innego wzbudziłoby podejrzenie.

Wobec tego pobiegłam uściskać naszą pocziwą woźną, która usprawiedli-
wiała się: – nigdy takich rzeczy nie robię, bo rozumiem, co egzamin to
egzamin, a za takie „kumbinacje” mogę posadę stracić. Tylko mnie panny

Hani bardzo szkoda, bo sierota bez matki. Nu, myślę, nich tam ten jeden razik Janasowa zgrzeszy. Ostrobramska nie pogniewa się może.

Po egzaminach pisemnych rozpoczęły się przygotowania do ustnych. Dano nam kilka dni przerwy.

Wańdzia, Zula, Jadzia, Ola, Albina i Aldona zbierały się u mnie i uczyłyśmy się całymi nocami, odpędzając sen mocną czarną kawą. Dobrym sposobem zwalczania senności było również wsadzenie głowy pod kran, co też stale praktykowałyśmy. Nie mniej, gdy nadszedł złowieszczy ustny egzamin z matematyki, z rozpaczą uświadomiłam sobie, że nic, kompletnie nic nie umiem, nic nie wiem, nic nie rozumiem. A na ściągę przy tablicy liczyć nie mogę. Jedynie trzynasty bilet, zawierający trzy najłatwiejsze i najprostsze pytania z geometrii, trygonometrii i algebry jako tako miałam opanowany. Ale jak wyciągnąć go z całej kupy innych? To przecież byłoby wygraniem wielkiego losu na loterii, a ja od dzieciństwa do żadnych loterii nie miałam szczęścia. W noc przed egzaminem położyłam się spać zupełnie zrezygnowana. Niech się dzieje co chce! Przynajmniej trochę wyśpię się. Spałam mocno i przyśniła mi się mamusia. Mówiła do mnie: – gdy podejdziesz do stołu – patrz uważnie. W trzecim rzędzie trzeci bilet z lewej strony będzie trzynasty.

Obudziłam się pod wrażeniem tego snu i zaraz po przyjściu do gimnazjum opowiedziałam go w klasie. Dziewczynki przejęły się bardzo i upominały mnie, żebym dobrze uważała i liczyła bilety, zanim wyciągnę. Chłopcy zaczęli się śmiać i poddrwiwać.

I oto nadeszła straszliwa chwila. Stoję przed długim stołem przykrytym zielonym sukniem z rozłożonymi na nim w równiutkich rzędach białymi prostokątami małych kartoników. Serce mi bije, patrzę z namysłem i liczę: – trzeci rząd, trzeci bilet od lewej strony. Uwaga! Żeby się nie pomylić! – Proszę ciągnąć – mówi kurator, zniecierpliwiony moim długim wahaniem. Z zamierającym sercem biorę upatrzony kartonik i odwracam go.

– Trzynasty bilet! – krzyczę tryumfująco. Po klasie przechodzi szmer: – trzynasty! Wyciągnęła trzynasty! Z uczuciem ulgi podchodzę do tablicy, biorę kredę, zaczynam kreślić. Jakoś idzie.

Przy zadaniu algebraicznym w pewnym momencie utknęłam. Zamroczenie umysłu czy moja zwykła „tumanowatość” matematyczna sprawiła, że zaplątałam się nagle i nie umiałam wybrnąć. Ale już przy mnie znalazł się profesor Sawicki. Zasłaniając mnie przed oczami komisji, przysuwa się do tablicy, niby to coś sprawdza i nieznacznie poprawia błąd. Gdy płacząc się i jękając zaczynam objaśniać zadania, podpowiada mi, kiwając potakująco głową i powtarzając: – tak, tak, rozumiem... Pani chce powiedzieć, że...

– Ja – niestety – zbyt dużo powiedzieć nie mogę, pomimo najlepszych chęci, ale Sawicki gada za mnie i jakoś to idzie. Grunt, że zadania na tablicy z biedą są rozwiązane. Ciarki mnie przechodzą na myśl, co by to było, gdybym wyciągnęła inny bilet, jak dziewicza i nieskalana pozostałaby wówczas tablica! Wreszcie upragnione: – dziękuję! – znak, że mogę odejść. Wychodząc z klasy widzę pochylone ku sobie głowy członków komisji. Jakieś szepty, cicha narada. – Chyba będzie trójka – pocieszam się.

Reszta egzaminów poszła jak z płatka. Dopiero ostatni – z łaciny – napędził mi trochę strachu. Dostałam wprawdzie wyjątkowo łatwe tłumaczenie – pierwszy rozdział z Cezara, ale zaplątałam się w formach i czasach. Tym razem pomagali mnie wszyscy – nie tylko łacinista i dyrektor, ale nawet kurator.

Po tym egzaminie zebraliśmy się w klasie, czekając na ogłoszenie wyników maturalnych. – Sąd udał się na naradę – oznajmił Witek z wisielczym humorem. Biedak bardzo słabiotko przeszedł przez egzaminy i wcale nie był pewny pomyślnych wyników.

Kiedy po dość długim oczekiwaniu komisja wróciła, a z ust dyrektora, odczytującego listę absolwentów, padło moje nazwisko, byłam już tak wyczerpana nerwowo, tak zmęczona, że nie odczułam żadnej radości. Sła-

niając się wyszłam z klasy. Po korytarzu chodził zdenerwowany tatuś. Na widok mojej bladej zmęczonej twarzy, podbiegł do mnie zaniepokojony.

– I co? Jak?

– Zdałam! – wykrztusiłam tak zbolalym, grobowym głosem, że tatuś spojrzał z niedowierzaniem. Ale już zbliżył się do niego dyrektor i zapewnił wesoło: – zdała, zdała i to z dobrym wynikiem!

– Wobec tego zabieram ciebie do Sztrala na czekoladę z ciastkami – rozpromienił się tatuś.

– Och, nie, nie, tatusiu! Nie dziś, nie teraz! Do domu i spać – jęknęłam.

W domu nie rozbierając się, rzuciłam się na łóżko i gdy Józka z tatusiem przydźwigali mi na tacy podwieczorek – spałam jak zabita. Przespałam jednym tchem dwadzieścia cztery godziny. Tatuś opowiadał, że był mocno zaniepokojony moim długim kamiennym snem i chciał już sprowadzić lekarza

Zbliżał się ostatni uroczysty akt: rozdanie dyplomów i bal maturalny. Ponieważ dziewczynki uchwaliły, że wszystkie wystąpią na uroczystości w białych sukienkach, tatuś namówił mnie, żebym na ten jeden dzień zdjęła ciężką żałobę i też ubrała się na białe.

– Mamusia z pewnością też życzyłaby sobie widzieć cię w bieli w takim dniu – przekonywał tatuś.

Postanowiliśmy również, że tańczyć oczywiście nie będę, ale na balu pozostanę w charakterze widza.

Nadszedł wreszcie oczekiwany dzień. Pięknie udekorowana sala wypełniła się rodzicami i krewnymi. Tylko ode mnie nie było nikogo. Krewnych i dalszą rodzinę pogubiliśmy po świecie w czasie pierwszej wojny światowej. Tatuś tego dnia miał rozprawę i uprzedził, że może się trochę spóźni. Było mi smutno na sercu, czułam się nikomu niepotrzebna, zapomniana przez wszystkich.

Na scenie za stołem zasiadła Rada Pedagogiczna. Nasza grupa ustawiła się z boku przed sceną. Dyrektor wygłosił krótkie przemówienie, składając nam życzenia na nowej drodze życia. Leon, jako najstarszy, podziękował w imieniu absolwentów wszystkim profesorom za ich trudy. Nastąpił punkt kulminacyjny.

– Achmetówna Zulejka! – wywołał dyrektor.

Śliczna czarniutka Tatareczka, wyglądająca w swojej białej sukience jak mucha zanurzona w mleku, lekkim, tanecznym krokiem wbiegła po schodkach na scenę. Uściski dłoni, ukryta za sceną orkiestra gra uroczystego marsza, publiczność klaszcze, a zapłoniona jak różyczka Zula zbiega ze sceny i śpieszy na salę, gdzie oczekują na nią rozpromienieni rodzice.

– Andrzejówna Jadwiga! Balicka Wanda! Dziewczynki zmieniają się na scenie.

Myślę ze smutkiem, że nikogo z obecnych nie obchodzę i moje ukazanie się na scenie nie zrobi na nikim żadnego wrażenia. Nie wiedziałam, że koleżanki, które już są na sali, rozpoczęły gorącą agitację i poinformowały rodziców oraz znajomych, o stracie jaką ostatnio poniosłam.

Toteż, gdy ze sceny padło: – Boska Hanna! – a ja oderwałam się od grupy absolwentów, wybuchły najbardziej żywiołowe tego wieczora oklaski. Przy ich akompaniamencie weszłam na scenę.

– Najmłodsza nasza absolwentka, która otrzymała specjalne wyróżnienie z języka polskiego – informuje publiczność uśmiechnięty dyrektor. Oklaski przybierają na sile, ktoś głośno krzyczy „brawo”! Wyciągnięte ręce profesorów, uściski dłoni, serdeczne słowa Karasińskiego: – daj ci Boże, dziecko, jak najlepiej!

Wzruszona i trochę oszołomiona schodzę ze sceny, rzucając okiem na otrzymany dyplom. Jedna trójka z matematyki, dwie czwórki – z łaciny i fizyki, reszta – piątki. Przy piątce z polskiego dopisek „z wyróżnieniem”. Na sali chwila wahania. Gdzie iść? Co ze sobą zrobić? Ale już ze wszyst-

kich stron wyciągają się do mnie ręce, obracają życzliwe uśmiechnięte twarze. Dają mi zapraszające znaki, rozsuwają się na krzesłach, robiąc miejsce. Stoję chwilę niezdecydowana, ale już w drzwiach sali mignęła mi barczysta sylwetka tatusia. Mruży krótkowzroczne oczy, rozgląda się, szuka mnie. Śpieszę więc do niego.

– Spóźniłeś się o chwilkę, tatusiu – mówię, podając mu dyplom. Mocno przyciska mnie do serca. Jest ogromnie wzruszony, oczy ma wilgotne, a głos drży gdy mówi:

– Moja córuczna! Moja córuczna najmilsza! Gratuluję! Że też mamusia nie doczekała tej chwili! Jakaż byłaby szczęśliwa!

Tatuś pozostał na naszym balu. Podejrzewam, że uczynił to jedynie po to, żeby się mną zaopiekować i nie dać mi czasu na rozmyślania. Zaraz zakrzętał się w bufecie, urządzonym w jednej z klas, przylegających do sali. Zestawił razem parę stolików, zaprosił Wańdzię, Zule, Olę i Jadzię, oraz kilku chłopaków. Zamówił całe góry kanapek, różnych sałatek i słodczy. Po chwili przysiedli się do nas dyrektor, Karasiński i Butkiewicz. Tatuś bawił całe towarzystwo, tak jak tylko on to potrafił. Od śmierci mamusi nie widziałam go tak wesołym i ożywionym.

– Twój tatuś jest czarujący! – szeptały mi moje przyjaciółki. A tatuś dwoił się i troił, prawił komplementy dziewczynkom, przekomarzał się z nimi, żartował z chłopakami, opowiadał dowcipne kawały, aż wszyscy obecni uznali nasz stolik za najweselszy, najbardziej tryskający humorem. Tylko ja jedna, największa śmieszka i gaduła, byłam tego wieczora wyjątkowo poważna. Staralam się brać udział w ogólnej wesołości i żartach, żeby nie martwić tatusia, który od czasu do czasu, rzucał na mnie badawcze spojrzenia. Przez otwarte na salę drzwi widać było kręcące się pary, słysząc orkiestrę. Przypomniała mi się zeszłoroczna zabawa w VII klasie i ścisnęło się serce. Jak wiele od tego czasu zmieniło się! Nie ma mamusi, nie ma Konrada, nie ma już szkoły! Wszystko minęło bezpowrotnie. Gdy muzyka

umilkła i pary przestały krążyć, ktoś na sali zaintonował pieśń, podchwycaną przez wszystkich. Popłynęła znajoma melodia:

Upływa szybko życie,
jak potok płynie czas,
za rok, za dzień, za chwilę
razem nie będzie nas!

– Zaraz się rozbeczę! – pomyślałam z rozpaczą, wstałam prędko od stołu i wyszłam do ogrodu. Ogarnęło mnie orzeźwiające powietrze ciepłej czerwcowej nocy. Usiadłam na ławeczce i zapatrzyłam się w duże, mrugające na niebie gwiazdy. Przez otwarte okno sali dobiegała druga zwrotka pieśni:

I nasze młode lata
upłynął szybko w dal,
a w sercu pozostanie
tęsknota, smutek, żal!

Tak, tęsknota, smutek, żal dusiły mnie w ten wieczór, kiedy wszyscy cieszyli się i bawili. Może podświadomie wyczuwałam, że oto skończył się i zamknął jeden rozdział mego życia, że odchodzą na zawsze beztrudne lata, że nadciąga coś nieznanego. Nie wiedziałam, co czai się za progiem, który dziś przekroczyłam, co ma dla mnie w zanadrzu przyszłość. Może to było przeczucie wielu gorzkich zawodów i rozczarowań, wielu ciężkich chwil. Nie wiedziałam jeszcze, że życie jest nieustannym oczekiwaniem tego, co nie przychodzi albo przychodzi za późno.

Tylko śmierć jest niezawodna, nieunikniona i tylko ona zawsze przychodzi za wcześnie.

Ze schodów ganku zbiegły nierozłączne Albina i Aldona.

– Hanka, czego tu siedzisz sama? Chodź z nami szukać kwiatu paproci! Zaśmiały się i sfrunęły w ogród.. Tylko zabieliły się w ciemnościach powiewne sukienki. Po chwili dobiegł mnie trochę zawodzący głos Litwinek:

ty pójdziesz górą, ty pójdziesz górą
a ja doliną
ty zakwitniesz różą, ty zakwitniesz różą,
a ja kaliną!

Same smutne pieśni – pomyślałam. Nie poszłam za bliźniaczkami, niech sobie same szukają kwiatu paproci. Przecież to dziś noc świętojańska, noc czarów i wróżb, ale nic mnie jakoś nie nęci.

Jakieś ciepłe ramiona objęły mnie nagle za szyję

– Co to, Haniu, wiersze obmyślasz po ciemku? – zabrzmiał śmiejący się głosik Wańdzi. – Och, ci poeci! Porzucają gwar balowej sali, aby w samotności, w ciemnym ogrodzie marzyć o niebieskich migdałach! – wołała patetycznie.

– A ja dziś chcę bawić się, śmiać, szaleć – życie jest piękne!

Nagle spadły ze mnie wszystkie smutki, poczułam dawną, rozpierającą serce radość, wyrastanie skrzydeł u ramion. Roześmiałam się wesoło.

– Masz słuszość, Wańdziu – życie jest piękne! Otwiera nam dziś naościęz swoje bramy. Precz ze smutkiem! Idziemy w świat aby zwyciężyć!

– I zwyciężymy! – zawołała Wańdzia. Schwyciłam ją za rękę.

– Wiesz, dziś jest noc świętojańska, gdzieś na świecie zakwita kwiat paproci. A my wchodzimy w życie jak w zaczarowaną bajkową krainę. Idziemy szukać naszego kwiatu paproci, ale nie tu w ogrodzie jak Albina i Aldona, ani w żadnym lesie, tylko na drodze nowego życia, które dziś rozpoczynamy.

– Tak, – potwierdziła w zapale Wańdzia – będziemy szukać bardzo gorliwie i zobaczysz, że znajdziemy!

– A jeżeli nawet nie – gorączkowałam się coraz więcej, to przecież możemy w naszych sercach wyhodować i zapalić taki kwiat. Niech nam świeci i grzeje nas od wewnątrz, niech rozprasza ciemności, niech przyświeca in-

nym ludziom i niesie im pociechę. Przysięgnijmy sobie Wańdziu, że nie pozwolimy nigdy zgasnąć temu płomykowi. Przysięgamy – prawda?
– Przysięgamy! – krzyknęła Wańdzia, porwana moim entuzjazmem.
Potem objęłyśmy się mocno i wzruszone, szczęśliwe, patrzyłyśmy długo w ciemny, milczący ogród.



Spis treści

Rozdział I. Ja i moja klasa	3
Rozdział II. Dzieciństwo	15
Rozdział III. Stasiuk	25
Rozdział IV. Wielki sukces	35
Rozdział V. Nieboszczyk na urlopie	47
Rozdział VI. Handlarz żywym towarem	55
Rozdział VII. Pierwszy bal	59
Rozdział VIII. Warkocze	68
Rozdział IX. „Bajką byłaś dla mnie ty”	74
Rozdział X. Uływa szybko życie... ..	89